

Barbara McMahon

Narzeczona dla szefa

PROLOG

Ginny Morgan nie znosiła wiosennej przerwy semestralnej. Podczas tych dwóch tygodni pracowała dłużej, a wolny dzień był mrzonką, bowiem mnóstwo uczniów i studentów z okolicznych stanów zjeżdżało się do Fort Lauderdale, by bawić się, pić i flirtować.

Cieszyła się, co prawda, z dodatkowych napiwków hojnie serwowanych przez rozbawionych gości, ale dla niej był to fatalny okres, bo powracały głęboko stłumione wspomnienia, które odsuwała od siebie przez cały rok. Jedynie w spojrzeniu krył się cień smutku, gdy patrzyła w oczy syna.

Ginny wytarła stół, pozbierała do koszyka brudne szklanki i talerze. Gdzie się podział ten cholerny pomocnik? Gdyby była na miejscu kierownika „Tom's Fish Shack”, wylałaby Manuela i przyjęła kogoś bardziej odpowiedzialnego.

Zaniosła ciężki koszyk do kuchni. Para buchająca z garnków zamieniała pomieszczenie w łaźnię turecką. Woń krewetek w oleju przesycala powietrze. Ponieważ żadne z zamówień Ginny nie było gotowe, wróciła do sali restauracyjnej, gdzie było chłodniej.

Machinalnie zlustrowała swój rewir. Rozchichotane licealistki szykowały się do wyjścia. Dziewczyny maślanym wzrokiem spoglądały na chłopców przechadzających się po odkrytym molo. Królowały skąpe kostiumy kąpielowe i zwiewne wdzianka, które więcej odsłaniały niż skrywały.

Sama pięć lat temu nosiła takie bikini, gdy...

O nie, nie zamierza znów się nad tym rozwodzić! Minęło pięć lat i pora skończyć z historią o Kopciuszku, która nie doczekała się szczęśliwego zakończenia. Ginny jest teraz starsza i mądrzejsza. Nigdy już nie złapie miłosnej wiosennej infekcji. Nie będzie więcej słuchać kłamstw podlanych

romantycznym sosem. I na pewno nie uwierzy mężczyźnie, który wyzna jej miłość po dwóch tygodniach znajomości.

Była samotną matką. Życie nie ułożyło się jej tak, jak planowała, ale zgodnie z powiedzonkiem ciotki Edith, nie oddałaby Joeeya za całą herbatę Chin. Synek dostarczał jej nieskończoną ilość radości.

Jednak nie ma nic za darmo. Uśmiechnęła się do wychodzących dziewcząt, bo spodziewała się sutego napiwku. I nie pomyliła się. Kolejnych kilka dolarów zasili fundusz operacyjny Joeeya. Skrupulatnie składała grosz do grosza, by operacja mogła się odbyć, nim synek pójdzie do pierwszej klasy, co nastąpi w przyszłym roku. Joey do tego czasu musi pozbyć się straszego zezaka. Ginny starała się chronić go przed złośliwymi uwagami, ale gdy mały pójdzie do szkoły, będzie bezradna. Wiedziała, że dzieci nie okażą litości „zezookiemu”.

Niestety operacja miała charakter jedynie kosmetyczny, nie podlegała więc podstawowemu ubezpieczeniu, które Ginny miała dzięki pracy w restauracji. Musiała zbierać pełną sumę, lecz wciąż brakowało jej dwóch tysięcy dolarów.

Machnęła ręką na kolejne zniknięcie Manuela i zebrała brudne naczynia z następnego stołu. Wzięła też porozrzucane gazety. Lubiła czytać prasę zostawioną przez klientów. Kiedyś marzyła o wyjeździe z Fort Lauderdale, zwiedzeniu Atlanty, Waszyngtonu, a nawet Nowego Jorku. Ale marzenia o studiach i podróżach rozwiały się, gdy zaszła w ciążę.

Wyniosła naczynia, obsłużyła dwa stoliki, aż wreszcie doczekała się przerwy. Wzięła gazety i wyszła na zewnątrz, byle dalej od tłumu i zgiełku. Usiadłszy pod wielką, starą palmą, która zapewniała skrawek cienia, rozłożyła „Dallas Tribune”. Na chwilę zamarło jej serce. Poczula się, jakby zajrzała w przeszłość. Dallas, Teksas... On pochodził z Teksasu.

Westchnęła i zaczęła pobieżnie przeglądać artykuły. Nagle jej uwagę przykuł tytuł:

„John Mitchell Holden wraz z rodziną oferuje milion dolarów Fundacji Ostatnie Życzenie Dziecka”.

GINNY nie wierzyła własnym oczom.

John Mitchell Holden.

W okamgnieniu zniknęło pięć lat i znów była młodą dziewczyną, którą oczarował i zwabił do łóżka rostry Teksaszczyk. Dwa tygodnie była w niebie. Najdroższe restauracje, cudowne noce, oszołomienie, dreszcz emocji... Niewypowiedziana radość tych dni powróciła znów we wspomnieniach. Bez przerwy słyszała, że jest najpiękniejszą i najcudowniejszą kobietą na świecie. W uszach brzmiał jeszcze namiętny, gardłowy szept.

A potem skończyła się wiosenna przerwa i John Mitchell Holden wrócił do Teksasu. Ginny więcej go nie ujrzała.

Próbowała się z nim skontaktować, szczególnie gdy zorientowała się, że jest w ciąży. Powinien wiedzieć, że zostanie ojcem. Przekopała się przez książki telefoniczne, szukała w Internecie, pytała wszystkich Holdenów o krewnego Johna Mitchella. Nikt jednak o nim nie słyszał. Jakby zapadł się pod ziemię.

Aż do dziś.

Szybko przeczytała artykuł. Była w nim wzmianka o ranczu w Tumbleweed. John Mitchell snuł o nim różne historie, niektóre na pewno zmyślane, inne dość prawdopodobne. Nic dziwnego, że nie znalazła numeru Johna Mitchella w miejskich książkach telefonicznych. Mieszkał w miasteczku leżącym osiemdziesiąt kilometrów na północ od Fort Worth.

Treść artykułu koncentrowała się wokół hojnego datku, jaki John Mitchell Holden wraz z rodziną ofiarował fundacji. Milion dolarów.

Zacząła narastać w niej złość. Joey nigdy nie poznał ojca, bo John Mitchell zniknął i nie dał znaku życia, a przecież stać go było, by zapewnić synowi właściwą opiekę. Za to Ginny od czterech lat ciułała grosz do grosza na operację, która skoryguje oczy chłopca. Brakowało jej jeszcze dwóch tysięcy, więc milioner i hojny filantrop mógłby się dołożyć, żeby jego syn patrzył prosto jak inne dzieci.

Uważnie przeczytała cały artykuł. Pieniądze zostały ofiarowane dla uczczenia pamięci żony i córki Johna Mitchella Holdena.

A więc wrócił do domu i ożenił się z dziewczyną z Teksasu. Już dawno zorientowała się, że jej uczucie było nieodwzajemnione. W przeciwnym razie John Mitchell nie zniknąłby bez słowa. Znal jej adres, mógł zadzwonić lub napisać, a nawet wrócić do Fort Lauderdale, gdyby naprawdę coś dla niego znaczyła.

Jej uczucia wygasły dawno temu.

Ale Joey był jego synem i z tego powodu musi poznać prawdę. Każde dziecko powinno mieć ojca. A ten może dołożyć się do operacji.

Jeśli jednak odmówi, to gazety w Dallas z rozkoszą napiszą o hojnym filantropie, który skąpi pomocy własnemu synowi!

Ginny wróciła do pracy, niecierpliwie wyczekując końca zmiany. Wtedy zadzwoni do Johna Mitchella Holdena. Pewnie zdziwi się, gdy usłyszy głos z przeszłości.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ginny przez zasłone rześistego deszczu spojrziała na kutą, żelazną bramę wjazdową do rancza Circle H. Kichnęła i wytarta nos. Rozmasowała przeziębione oskrzela i spróbowała wziąć głęboki wdech. Bardzo bolało ją gardło.

To była droga przez mękę. Gdyby ten cholernik odpowiedział na choćby jeden z jej listów lub oddzwonił, nie musiałyby jechać z Florydy do Teksasu. Jednak ignorował ją przez cały miesiąc, tak jak przez ostatnich pięć lat.

Lecz to nie powstrzymało Ginny. Wzięła tygodniowy urlop i starym autkiem dotarta do Tumbleweed, aż pod wjazd na ranczo Holden.

Samochód najpierw rozkraczył się pod Biloxi, a potem, w rześistym deszczu, tuż za Beaumont. Przeziębienie Ginny pogłębiło się w ciągu dnia, szczególnie po tym, jak podczas ulewy rozmawiała z kierowcą wozu holowniczego. Jednak uparcie dążyła naprzód. Jeśli John Mitchell Holden sądzi, że pozwoli się zbyć byle czym, to jej nie po prostu zna.

Oczywiście, że jej nie znał, pomyślała. Dwa romantyczne i namiętne tygodnie nie miały przecież nic wspólnego z prawdziwym życiem.

W dodatku oszukał ją, mówiąc ciągle o miłości.

A przecież ciotka ją ostrzegała. Jednak gdyby jej posłuchała, nie miałaby Joeya, który był całym sensem jej życia i jedyną miłością.

- Już dojechaliśmy, mamó? - spytał chłopiec, który siedział z tyłu na foteliku.

- Prawie, kochanie. - Miała nadzieję, że taka jest prawda. Liczyła, że zabawią tu krótko. Załatwi dofinansowanie operacji, i zaraz pojedą do motelu. Marzyła jedynie o tym, by dowlec się do łóżka, zakopać w pościeli i spać aż do rana.

Floryda słynęła z popołudniowych burz, lecz Teksas przeganiał ją w rankingu. To była trzecia burza tego dnia.

- Czy zobaczymy koniki? - spytał Joey.

- Nie wiem, mogą być w stajni, ponieważ pada. - Widzieli mnóstwo bydła na pastwiskach wzdłuż drogi, ale żadnych koni.

- A krówki? - marudził Joey.

- Wyrzyj przez okno, jest ich tam tyle, że nie zdołasz policzyć.

Olbrzymie stado rozpełzło się po liczącej kilka hektarów łące. Zwierzęta stały tyłem do wiatru, ze stoickim spokojem znosząc siekący deszcz.

Ginny zatrzymała się przed otwartą bramą z kutego żelaza i spojrzała na olbrzymią posiadłość. Długi podjazd wiódł do wielkiego, piętrowego, białego domu z kolumnadą podtrzymującą dach nad szeroką werandą. Rezydencja godna była bogatej, wielopokoleniowej rodziny.

Za domem stały dwie wielkie stodoły, stajnie i inne budynki, których przeznaczenia Ginny nie potrafiła się domyślić. Poraził ją ogrom tego miejsca. Sądziła, że opowieści Johna Mitchella były wyssane z palca, jednak okazało się, że nic a nic nie przesadził.

Ogarnęły ją wątpliwości.

Czy postępuje słusznie? A może powinna zostawić Joeya ze swą przyjaciółką Maggie i przyjechać sama. Nagle przyszła jej do głowy przerażająca myśl. Co będzie, jeśli John Mitchell zażąda prawa do widywania się z dzieckiem?

A nawet do opieki?

Z artykułu wynikało, że w wypadku samochodowym stracił żonę i córkę. Może będzie chciał mieć blisko siebie syna? Zaczęła mu współczuć, mimo wciąż żywej złości za to, co zrobił przed pięciu laty. Ale przeżył tak straszną tragedię... Chyba nie będzie chciał zatrzymać Joeya?

A jeśli przyjechała tu na próżno? Naruszyła fundusz operacyjny, traktując to jako inwestycję. Liczyła, że ojciec

Joeya dopłaci brakującą kwotę i wyrówna koszty podróży do Teksasu i z powrotem. Lecz jeśli odprawi ją i syna z niczym? Cóż, musiała z nim porozmawiać, by się przekonać. Poza tym miał prawo poznać syna. Miała nadzieję, że polubi Joeya, ale wolałaby, żeby niczego nie zmieniał w ich życiu.

- Dlaczego nie jedziemy, mamusiu? Widzę dom. Jest oświetlony, choć jeszcze nie jest wieczór.

- Wiem, kochanie. To z powodu deszczu.

Mimo wczesnego popołudnia było tak pochmurno, że musiała włączyć światła mijania. Blask w oknach zdawał się przyzywać gości. Powoli ruszyła naprzód. Przebyli daleką drogę i Ginny, dla dobra Joeya, musi doprowadzić sprawę do końca.

Wreszcie dotarli przed dom. Ginny przeczekała atak kaszlu. Czowała się okropnie, ale nie zważała na to. Miała ważniejszą sprawę na głowie.

- Joey, musimy pobiec do werandy, bo inaczej przemokniemy.

Gdy chłopiec prześliznął się z tylnego siedzenia na przód wozu, Ginny otworzyła drzwi i pobiegli w stronę domu.

- Ojej! - pisnął Joey, rozchlapując kałuże. Wspaniale, pomyślała Ginny, próbując za nim nadążyć.

Wyglądamy jak zmokłe szczury.

Zadzwoiła do drzwi i zadrżała. Była przemoczona, a silny wiatr błyskawicznie ją wychładzał.

Drzwi otworzyła stara Meksykanka ubrana w kuchenny fartuch.

- Czym mogę służyć? - Spojrzała na nich z życzliwym zainteresowaniem.

- Szukam Johna Mitchella Holdena - odparła Ginny.

- Pan Holden jest zajęty. Czy oczekuje pani?

- Nie, ale przebyliśmy daleką drogę. Zajmę mu tylko kilka minut. - Ginny nie zamierzała dać się odprawić z kwitkiem. Była gotowa czekać do skutku.

Meksykanka popatrzyła uważnie na Ginny, potem spojrzała na Joeya i uśmiechnęła się.

- Nie stójcie na deszczu. Powiem, że pani czeka, jeśli usłyszę nazwisko.

- Ginny Morgan. - Zaczęła gwałtownie kaszleć. Oskrzela strasznie ją bolały.

- Kto to, Rosita? - zabrzmiał męski głos.

Ginny odwróciła się i w sieni ujrzała nieznanego mężczyznę. Zmarszczył brwi, patrząc na nią, potem dostrzegł Joeya.

Miał krótko ostrzyżone, ciemne włosy, był wysoki, muskularny i opalony. Zdecydowanie należał do tych ludzi, którzy zwracają powszechną uwagę i budzą podziw kobiet. Mimo że patrzył na Ginny i Joeya niezbyt przychylnie, ogromnie ją zaintrygował. A przecież była chora, poza tym przyjechała tu nie po to, by zachwycać się obcymi facetami.

Znów się rozkasłała. Opuszczały ją siły, musiała szybko zrobić to, co do niej należało. Gdy złapała oddech, oświadczyła twardo:

- Szukam Johna Mitchella Holdena.

- Ja nim jestem - rzekł mężczyzna. Zamrugła. Świat zawirował jej przed oczami.

- Ty jesteś moim tatą? - spytał Joey.

I to były ostatnie słowa, jakie usłyszała Ginny, nim zaczęła osuwać się na podłogę. Szczęśliwie Mitch zdążył ją złapać, chroniąc przed uderzeniem głową o twarde deski.

- Mamo? - Joey przywarł do jej nogi, gdy zwisała w ramionach Mitcha. - Mamo, co ci? - Drżał z przerażenia.

- Z twoją mamą będzie wszystko w porządku - powiedział Mitch. - Zaniosę ją na sofę do bawialni.

Gdy Ginny leżała już wygodnie, chłopiec poklepał ją po ramieniu. - Mamo? - Strach zabrzmiał w głosie malca.

- Nic jej nie będzie - powtórzył Mitch. Miał nadzieję, że nieznajoma szybko dojdzie do siebie. Przyjrzał się jej uważnie. Czoło miała rozpalone, oddychała z trudem. Nie ważyła więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, była bardzo szczupła.

- Czy mam wezwać doktora? - spytała od progu zatroskana Rosita.

- Jeszcze nie. Może to tylko chwilowy kryzys. - Mitch nie tęsknił za dodatkowymi komplikacjami w tym i tak trudnym dniu.

- Przyniosę zimny kompres - rzekła Rosita, udając się w głąb domu.

To nie był najlepszy moment na przyjmowanie niespodziewanych wizyt. Helen, niezastąpiona sekretarka, musi jechać do matki, która złamała nogę w biodrze, drobne kłopoty w Los Angeles przerodziły się w poważny kryzys, a na dodatek nadeszła pora przepędzenia stad bydła z zimowych pastwisk na letnie. Dlatego właśnie Mitch wrócił na ranczo, choć spędził opóźniał się z powodu ulewnych deszczów. Gdyby nie to, nadal przebywałby w Dallas lub może wybrałby się do Los Angeles. Musiał łapać kilka srok za ogon i nie w smak mu były dodatkowe komplikacje.

- Czy mama śpi? - spytał zaniepokojony chłopiec. - Nigdy tego nie robi.

- Jak ci na imię? - Dręczyło go pytanie chłopca, czy jest jego ojcem. Kim są ci ludzie?

- Joey. Czy mama zaraz się obudzi?

- Mam nadzieję. A jak masz na nazwisko, Joey? Skąd jesteś? - Gdy ujrzał niepewność we wzroku chłopca, poczuł ukłucie w sercu. Niemal tak samo jasnoblękitnymi oczami patrzyła na świat Daisy... dopóki żyła. Joey miał jednak

poważną wadę, jedno jego oko było bowiem zwrócone w stronę nosa. Mitch, choć nie znał się na tym, przypuszczał, że już najwyższa pora na zabieg korekcyjny.

Rosita weszła do bawialni, położyła na czole Ginny zmoczony ręcznik i dotknęła jej policzka.

- Ona ma gorączkę, proszę pana.

- Kim ona jest?

- Nazywa się Ginny Morgan. Pytała o pana. Powiedziała, że przyjechała z daleka. Może jednak powinniśmy wezwać lekarza?

Chłopiec nie spuszczał wzroku z Mitcha.

- Czy jesteś moim tatą? - spytał ponownie.

- Nie. - Był tego pewien. Nigdy przedtem nie widział tej kobiety, a chłopiec wyglądał na jakieś pięć lat. W tamtym czasie Mitch był szczęśliwym mężem i ojcem. Nigdy nie zdradził żony, kochał Marlisse nad życie.

Znów ogarnął go żal. Czy kiedyś przeboleje jej stratę? Czy coś wypełni pustkę w sercu, która pozostała po niej i po Daisy?

- Mama mówiła, że jedziemy zobaczyć tatusia. Gdzie on jest?

Mitch zaniepokoił się. Ginny Morgan znała jego nazwisko i wmówiła chłopcu, że mały jest jego ojcem? Jaką intrygę uknuła?

Była szarooką blondynką, a chłopiec miał oczy niebieskie, więc Mitch, zdecydowany brunet, zupełnie nie pasował na ojca. Zresztą w razie czego zawsze można zrobić test DNA.

- Mamo. - Joey potrząsnął Ginny. - Obudź się, mamo.

Mitcha coś ścisnęło w gardle. Chłopiec był śmiertelnie przerażony. Przypomniawszy sobie Daisy w wieku pięciu lat. Beztronski śmiech i niepohamowana energia. Nic jej nie mogło przerazić. Dzieci nie powinny się bać.

Przykucnął obok malca i wziął go za rączkę. Powróciły wspomnienia, jak trzymał rączkę Daisy, gdy przechodzili przez jezdnię lub wchodzili do sklepu. W uszach brzmiało echo jej śmiechu. Tyle rzeczy ją bawiło...

Chłopiec w niczym jej nie przypominał, ale jego obecność uświadomiła Mitchowi, ile stracił.

- Gdzie mieszkasz, Joey?

- Siedemnaście-trzydzieści Atlantic Circle, Fort Lauderdale - wyrecytował dumnie. Jak widać, matka zadbała, by znał swój adres.

- Floryda - mruknął Mitch.

- Jechaliśmy bez końca i mama mówiła, że tu będzie mój tata. Potrzebujemy pieniędzy na moje oczy. Po operacji będę taki sam jak inni chłopcy. Nie chcę być inny.

Rosita spojrzała znacząco na Mitcha.

- Czy mam zabrać stąd chłopca, żeby mógł pan porozmawiać z jego matką, gdy się ocknie? - spytała rzeczowo.

- Nie mogę zostawić mamy - zaprotestował Joey.

- Mamie nic nie będzie. - Mitch wstał. - Niech tu chwilkę odpocznie. Rosita da ci ciasto i szklanekę mleka. Założę się, że zgłodniałeś.

- Jestem głodny - po chwili namysłu stwierdził Joey. - Nie jedliśmy lunchu. Naprawdę dostanę ciasto?

- Oczywiście. Rosita zaopiekuje się tobą.

Gdy Mitch został sam, zadzwonił do biura i poprosił Helen:

- Zanim wyjdiesz, skieruj do mnie Jeda Adamsa. Mam tu młodą kobietę, która zemdląła w progu. Gorączkuje, z trudem oddycha. A może Jed uzna, że trzeba od razu wezwać pogotowie.

- Robi się. - Helen odłożyła słuchawkę.

Mitch uśmiechnął się. Jego sekretarki nic nie mogło zaskoczyć, nawet nieznana młoda kobieta, która mdleje na progu domu szefa. Helen była wprost niezastąpiona na ranczu, gdy Mitch przebywał w Dallas. Jak sobie bez niej poradzi? Nawet nie wiedział, ile potrwa jej nieobecność. Helen już dzwoniła do agencji z prośbą o przysłanie zastępstwa, ale Mitch wiedział, że niełatwo będzie mu pracować z kimś obcym.

Kobieta poruszyła się. Doskonale. Jak tylko przyjdzie do siebie, odeśle ją z Bogiem, doradzając wizytę u miejscowego lekarza. Jeden problem z głowy.

Telefon zabrzączał, gdy chora otworzyła oczy. Dzwonił Jed Adams, przyjaciel jeszcze z ławy szkolnej.

- Mitch, słyszałem, że masz kogoś, kto potrzebuje pomocy lekarskiej.

- Chyba już ma się lepiej. Zaczekaj. - Mitch pochylił się nad kanapą, zaglądając Ginny w oczy. - Jak się pani czuje?

Zamrugła i spojrzała na niego nieco przytomniej.

- Co się stało? - Rozejrzała się po bawialni. - Gdzie jest Joey? - Zaczęła wpadać w panikę. Próbowwała usiąść, ale Mitch delikatnie, choć stanowczo popchnął ją z powrotem w poduszkę.

- W porządku, Rosita daje mu lunch. Niepokojmy się o panią. Zemdląła pani.

- Zemdląłam? Nigdy nie mdleję! - Potarła czoło. - Nie czuję się najlepiej.

Mitch przyłożył słuchawkę do ucha.

- Już jest przytomna. Myślę, że kryzys minął. Przyślę ją do ciebie. Dzięki za telefon, Jed.

- Nie ma sprawy. W razie czego daj znać. Mitch odłożył słuchawkę i wstał.

- Pan nie jest Johnem Mitchellem Holdenem - szepnęła Ginny.

- Owszem, jestem, choć najwyraźniej nie tym, którego pani spodziewała się tu zastać. Nie wiedziałem, że jest nas dwóch.

Zamknęła oczy, spod powiek pociekły łzy.

- Coś pani podać? - Mitch zastanawiał się, kim jest Ginny Morgan i czemu szuka jego, czy też raczej kogoś o tym samym nazwisku.

Pokręciła głową.

- Zaraz zniknę panu z oczu. Przepraszam za nieporozumienie. Gdy przeczytałam o pańskim darze na rzecz Fundacji Ostatnie Życzenie Dziecka, pomyślałam, że jest pan człowiekiem, którego szukam od lat. Że pan jest Johnem Mitchellem, moim Johnem Mitchellem Holdenem. Właściwie to nie moim, ale szukam go od pięciu lat. Myślałam, że w końcu go znalazłam.

- Przebyła pani długą drogę z powodu artykułu w gazecie? Syn powiedział, że mieszkacie na Florydzie.

- Pisałam, dzwoniłam, ale pan nie odpowiadał. Byłam zrozpaczona.

- Dlaczego?

Zanim Ginny zdążyła odpowiedzieć, do pokoju wtargnęła ciotka Emaline. Ubrana była w koronkową suknię nie z tej epoki. Mitch przywykł do tego. Wymyślne stroje należały do jej stylu bycia. Westchnął. Kolejna niechciana komplikacja!

- Drogi siostrzeńcze, dobrze, że pamiętałeś, by wezwać mnie w potrzebie. Rada jestem, iż mogę pomóc. Czy to ta biedna istotka? Och, rzeczywiście wygląda na chorą.

Ginny spojrzała zdumiona na starszą panią o filigranowej posturze i siwych lokach. Jej suknia przywodziła na myśl dawne przyjęcia bogatych Południowców, lecz miała się nijak do współczesności. Wielce oryginalna dama, podsumowała ją Ginny.

Zerknęła na krzepkiego gospodarza, który w pierwszej chwili zmieszał się przybyciem ciotki, lecz szybko się opanował.

Czy rzeczywiście są krewnymi? Nazwała go siostrzeńcem, lecz wydał się zbyt wielki, za masywny, by mógł być spokrewniony z tą kruchą, zwiewną kobietą.

- Jak się czujesz, kochanie? - Emaline dotknęła policzka Ginny. - Ależ ty płoniesz! Mitch, ona jest cała rozpalona. Musimy dać jej coś na gorączkę. Aspirynę. Myślę, że aspiryna pomoże. I płyny. Dużo płynów. Krystalicznych jak sok jabłkowy czy choćby woda.

Kiedy Ginny zaczęła kasłać, Emaline zasłoniła usta i nos chusteczką, lecz wciąż krzątała się przy niej.

- Kochanie, ten kaszel jest okropny. Mitch, musimy coś z tym zrobić. Pomoże odpoczynek w łóżku. Przygotować pokój liliowy czy różowy? Liliowy, bo jest bardziej kojący, a różowy wprowadzi nas w błąd co do jej gorączki. I tak jest wystarczająco różowa.

- Co proszę? - Zdezorientowany Mitch spojrzał na ciotkę.

- Różowe ściany refleksiem świetlnym zabarwią jej skórę, i nie będziemy wiedzieli, czy gorączka spada.

- Jeśli zostanie, skorzystamy z termometru. Jednak to nie wchodzi w grę, bo nie zostanie.

- Ależ Mitch, nie można wypędzić chorej osoby na taką burzę. Nie chcę o tym nawet słyszeć.

- Ciociu Emaline, to ktoś zupełnie obcy. Nic o niej nie wiem. Przyjechała z Florydy. Jestem przekonany, że może pojechać do motelu.

- Już wychodzę. Przepraszam za kłopot. - Ginny usiłowała wstać, ale że nogi miała jak z waty, więc z powrotem opadła na kanapę.

- Widzisz? - triumfowała Emaline. - Nie nadaje się do podróży. Jeśli jej nie przyjmiesz, ja to zrobię. Będzie nam

trochę ciasno w pawilonie, ale przy takiej pogodzie nie wypędzę z domu chorej osoby!

Zrezygnowany Mitch skinął głową. Walka z ciotką z góry skazana była na klęskę. Za to Rosita, która wezwała Emaline, zasłużyła na solidną reprimendę. Mitch nie mógł już, jak to zamierzał, bez skrupułów odesłać Ginny Morgan i jej dzieciaka, tylko musiał ich gościć co najmniej przez jeden dzień. Miał tylko nadzieję, że jutro mały samochodek ruszy z powrotem na Florydę.

- Zatem pozostawiam chorą w twych rękach, ciociu Emaline.

- Zajmę się wszystkim, Mitch, a ty wracaj do pracy. Czy mógłbyś poprosić Rositę, żeby mi pomogła?

- Teraz zajmuje się malcem.

- Mały chłopiec? - Emaline była wniebowzięta. - Czemu nic nie powiedziałaś? W tym domu zbyt długo nie rozbrzmiewał dziecięcy śmiech. Gdzie on jest?

- W kuchni.

Rzeczywiście, od dawna nie brzmiał tu śmiech dziecka. I tak już zostanie na zawsze.

Emaline prawie wybiegła, by jak najszybciej poznać chłopca.

Mitch westchnął i spojrzał na Ginny, która usiadła na kanapie, trzymając rękę na oskrzelach. Niezdrowe rumieńce paliły jej twarz, w oczach czaiła się niepewność. Spojrzała na Mitcha.

- Wyniosę się za chwilę. Nie mogę tu zostać.

- Emaline ma prawo zapraszać, kogo chce. Zaprowadzę panią do sypialni, gdzie bez trudu pomieści się pani z synkiem. Mogę też dla chłopca przygotować osobny pokój.

- Byłoby świetnie, cztery dni w aucie dały mu się we znaki.

- Podróż z Fort Lauderdale zabrała aż cztery dni?

- Mieliśmy problemy z samochodem. - Ginny już była pewna: nie w tym Johnie Mitchellu Holdenie zakochała się przed laty. Nie zgadzał się ani wiek, ani wygląd, ani charakter.

- Ładny szmat drogi z powodu wzmianki w prasie.

Czekał na dalsze wyjaśnienia. Czego właściwie potrzebowała? Pomocy, a może pieniędzy na drogę powrotną? Liczyła na jego współczucie? Informacja o hojnej darowiźnie już zaowocowała dziesiątkami próśb o wsparcie ze strony innych organizacji. Helen dała im wszystkim odpór, ale Ginny Morgan była pierwszą indywidualną petentką. Oczywiście Helen też by się jej pozbyła.

- Uznałam to za zrzącenie losu. Myślałam, że odnalazłam Johna Mitchella Holdena w chwili, kiedy go najbardziej potrzebowałam. Mówił, że pochodzi z Teksasu, że jego rodzina ma ranczo. Opowiadał mi o nim różne historie, widać zmyślane.

- Kiedy to było?

- Pięć lat temu, podczas wiosennej przerwy w Fort Lauderdale.

- Szalona wiosenna przerwa, wesołe imprezki i zero odpowiedzialności. Tak go pani poznała?

Ginny usztywniła się na tę jawną drwinę. Co zaszło w przeszłości, to nie jego sprawa. Potarła czoło i przymknęła oczy. Pragnęła jedynie dopaść łóżka i spać przez dwanaście godzin.

- Takie jest życie. Już znikam, panie Holden. Przepraszam za zakłócenie spokoju.

- Proszę przenocować zgodnie z radą ciotki Emaline. Nawałnica wciąż trwa, więc jazda byłaby niebezpieczna, szczególnie dla kogoś, kto nie jest przyzwyczajony do naszych dróg. No i proszę pamiętać, że Circle H jest znane ze swej gościnności.

Przynajmniej było za życia Marlisse. Kochała przyjmować przyjaciół, bawić się, gotować dla tłumu gości i pokazywać ranczo. Jednak po jej śmierci nikt obcy tu nie nocował.

Wyjrzał przez okno. Lało jak z cebra, wiatr gwałcił drzewa. Nie chciał, by Ginny Morgan i jej syn zatrzymali się w jego domu, ale ciotka miała rację: w taką pogodę nie wolno nikogo wyganiać na dwór, a w tym przypadku chodziło o chorą kobietę i jej dziecko.

- Słyszał pan o innych ranczerach noszących nazwisko Holden? - spytała z nadzieją Ginny.

- Od lat jestem członkiem stowarzyszenia hodowców bydła, i gdyby tacy byli w Teksasie, na pewno bym o nich słyszał.

- Blondyn o wielkich niebieskich oczach. Joey ma jego oczy... - mruknęła. - A może to wszystko bujdy? Mógł być aptekarzem z New Jersey. - Powoli przekreśliła się na bok. - Chociaż mówił gardłowo, po teksańsku... - Głos jej cichł, na koniec usnęła.

Mitch nie był zadowolony. Gdy Rosita wreszcie przygotuje pokój, będzie musiał tam zanieść panią Morgan lub zostawić tu do rana. A jeśli ona do jutra nie wydobrzeje, będzie musiał ściągnąć Jeda.

Ale co zrobić z chłopcem? Pochował żonę i córkę, i nie życzył sobie dzieci w swoim domu. Unikał rodzinnych zjazdów, wyjaśnił siostrze i kuzynom, że nie ma ochoty na przyjmowanie gości.

Emaline chciała, żeby zostali, mech więc się zajmie dzieckiem. Odłoży swoją pracę i będzie zabawiać chłopca. Ale sama. On nie da się w to wciągnąć.

Może żona Jacka Parlance'a zajęłaby się Joeyem, gdyby ten sprawiał za dużo kłopotów Emaline. Wychowała trzech synów, więc wie, jak obchodzić się z małymi chłopcami.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Był zły, że rutyna jego dnia została zakłócona. Nie chciał, żeby Helen wyjeżdżała. Nie chciał, żeby Ginny Morgan i jej syn wkroczyli w jego życie. A już na pewno nie chciał wiedzieć, kto podszył się pod niego przed pięciu laty.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ginny przeciągnęła się pod prześcieradłami. Dręczący ją od dłuższego czasu ból głowy minął. Wolno otworzyła oczy i usiadła. Obce łóżko w obcym pokoju. Gdzie się znalazła? To nie był jej pokój na Florydzie ani żaden motel.

Na czystym niebie świeciło słońce. Przez wysokie okna widziała ciągnące się po horyzont wzgórza, a na nich pasące się bydło. Ach tak, przecież jest na ranczo Circle H. Pamiętała ledwie strzępy rozmowy z Johnem Mitchellem Holdenem, który niestety tylko z nazwiska przypominał ojca Joeya. Przypomniała też sobie, że Emaline i Joey rozmawiali o koniach, a jakiś mężczyzna mierzył jej gorączkę, a potem chyba zrobił zastrzyk. Czy na pewno? A może to sen?

Niezdarnie odrzuciła prześcieradła i wstała, ale musiała przytrzymać się komódki. Była słaba i drżąca. Chorowała aż tak poważnie? Przynajmniej oskrzela już jej nie bolały, a kaszel minął.

Przez drzwi zajrzała Rosita.

- O, już pani wstała. To dobrze. Powiem pani Emaline i przyniosę śniadanie. - Zniknęła, zanim Ginny zdążyła odpowiedzieć.

Rozejrzała się wokół. Gdzie jest Joey? Jak długo tu przebywa? Wspomnienia jej się mieszały, nie wiedziała, co było jawą, a co snem. Niedaleko drzwi zauważyła swoją walizkę, z której wzięła czyste ubranie, a potem zamknęła się w łazience, by wziąć prysznic i się przebrać.

Nie mogła uwierzyć, że nocowała w obcym domu. Cóż, była chora, ale teraz czuje się znacznie lepiej. Zaraz odnajdzie Joeya i ruszą w drogę. Ta podróż okazała się kompletnym niewypałem. Ginny nie odnalazła ojca Joeya, nie zdobyła brakującej kwoty, co gorsza, z funduszu operacyjnego wydała kilkaset dolarów. Musi jak najszybciej znaleźć się na Florydzie i wrócić do pracy, bo liczy się każdy cent.

Gdy jednak skończyła się ubierać, marzyła tylko o tym, by paść na łóżko i przespać kolejne dwadzieścia cztery godziny. Choć powinna odnaleźć synka, lecz skusiło ją śniadanie, które przyniosła Rosita: delikatny omlet, świeże owoce, sok pomarańczowy, aromatyczna kawa... Ginny nie wiedziała, od czego zacząć. Skoro wczoraj powierzyła Joeya Rosicie, tych kilka minut nie zrobi różnicy. A była taka głodna!

Delektowała się każdym kęsem. Jakaś meksykańska odmiana omletu, pomyślała, czując nieznane przyprawy. Przed wyjazdem poprosi o przepis.

Muszą ruszać w drogę i jechać dużo szybciej niż w tę stronę, bo z tygodniowego urlopu niewiele już zostało. Byle tylko samochód znów nie nawalił, bo każdy wydany dolar zmniejszał odłożoną sumę. I tak porządnie ją uszczupliła. Była taka pewna, że znalazła ojca Joeya. I co teraz?

Delikatne pukanie poprzedziło wejście Emaline. Dziś miała na sobie zwiewną różową suknię z koronkowymi wykończeniami kołnierzyka i długich, bufiastych rękawów. Całości dopełniały balerinki, w których wręcz płynęła przez pokój.

- Wreszcie się obudziłaś. Tak się cieszę. Jak się czujesz? Martwiliśmy się o ciebie, ale Jed powiedział, że wyzdrowiejesz, potrzebujesz tylko dużo snu i troskliwej opieki. Zrobił ci zastrzyk, bo z powodu kaszlu nie mogłabyś wziąć żadnej pigułki. Nie wypijaś też całego rosołu, który przygotowała ci Rosita. Myślałam, że dobrze by ci zrobiło jajko w koszulce, ale Mitch powiedział, że rosół wystarczy. - Usiadła naprzeciwko Ginny i uśmiechnęła się. - A Joey to prawdziwy skarb. Wniósł tyle radości... Od dawna w tym domu nie przebywało żadne dziecko. Oczywiście wszystkim nam brakuje Daisy, ale to już dwa lata od jej śmierci. Uważam, że w tak wielkiej rezydencji powinno kręcić się mnóstwo dzieciaków, prawda? Nas było siedmioro. Mama

powiadała czasem, że i szóstka to nadmiar, ale kochała nas bardzo. My też ją kochaliśmy, zwłaszcza tata. Moja młodsza siostra wyszła za Bradleya Holdena. To rodzice Mitcha. Ranczo należy do Bradleyów, a Mitch zarządza nim, bo jego rodzice podróżują. Należy do nich od pokoleń. Mam mały domek na tyłach. Prawda, że omlet Rosity jest pyszny? Lubię omlety na ostro. Przeważnie sama sobie gotuję, chyba że dołączam do Mitcha, gdy tu przebywa, albo kiedy wyjedzie, a Rosita przyrządzi coś pysznego.

Ginny usiłowała nadażyć za tym słowotokiem, i w efekcie zaczęło kręcić się jej w głowie. Wreszcie udało się jej wychwycić moment, gdy Emaline nabierała powietrza, i zapytała:

- Gdzie jest Joey?

- Poszedł do koni. Chłopak szaleje za nimi. Założę się, że gdyby został, w okamgnieniu nauczyłby się jeździć. Daisy jeździła, gdy miała trzy lata, oczywiście na kucykach. Mitch pozbył się ich po jej śmierci. Od tamtej pory unika kontaktów z dziećmi, ale gdybyś tu została, pewnie kupiłby jakiegoś łagodnego kuca dla Joeya. Musiałby jednak najpierw trochę otworzyć się na innych. Po tamtej tragedii zamknął się w sobie, żyje i pracuje samotnie. Skutecznie powiększa rodzinny majątek, więc nikt nie narzeka, ale byłoby dobrze, gdyby się znów ożenił. I uspokoił.

Ginny domyśliła się, że Daisy była zmarłą córką Mitcha. Nie mogła sobie wyobrazić cierpienia po stracie dziecka. Musiało być niewysłowione.

- Brawo! - Emaline uśmiechnęła się, gdy Ginny zjadła ostatni kawałek omletu. - Smaczny, prawda? Tak się cieszę, że coś w końcu zjadłaś.

- W końcu? - zdziwiła się Ginny.

- Cztery dni o samym rosółku osłabi każdego, prawda?

- Cztery dni? Jestem tu już cztery dni?!

Mitch nie mógł uwierzyć, że jeden kąśliwy komentarz wywoła łyzy, histerię i trzaśnięcie drzwiami. Sekretarka zastępująca Helen uciekła w pośpiechu, a on został sam nad stertą dokumentów. Wyciągnął następną teczkę, zajrzał i odstawił. Może powinien był zaangażować któregoś z pracowników rancza? Oni przynajmniej nie obrażali się z byle powodu.

Helen nie była w stanie podać nawet przybliżonego terminu powrotu, natomiast Mitch stracił już cierpliwość do przysyłanych mu z agencji kandydatek na zastępstwo. Dwie w ciągu trzech dni. Czy nie mogą znaleźć kogoś, kto choć trochę zna się na pracy biurowej? Lub przynajmniej nie obraża się o błahą uwagę...

Cichy szmer uświadomił mu, że nie jest sam. Mitch obejrzał się i w progu zobaczył Joeya.

- Dzieciom nie wolno wchodzić do biura. - Za dziesięć minut miała rozpocząć się telekonferencja i Mitch miał nadzieję, że do tej pory znajdzie teczkę Montgomery 'ego.

- Ta pani mówiła brzydkie słowa. - Joey wszedł do środka.

- Słyszałem.

Może nie powinien tak sarkastycznie pytać, czy chodziła do szkoły, gdzie uczą literek, a nawet całych wyrazów... Do licha, ta teczka jest bardzo ważna, a ona nie potrafiła jej znaleźć. Sam również nie miał więcej szczęścia. Może więc ta uwaga była nie na miejscu?

- Mama nigdy nie mówi brzydkich słów. Mówi, że możemy być mądrzejsi od ludzi, którzy powtarzają brzydkie słowa po innych - oznajmił z powagą.

- Hm... tak... - Mitch zerknął na Joeya. Czy nie uprzedzał chłopca, że dzieciom nie wolno wchodzić do biura?

- Czy mama dziś będzie czuła się lepiej? - Joey podszedł bliżej.

- Nie wiem. Zapewne - O, teczka, której szukał. Mitch otworzył ją i spojrzał na Joeya, który przywarł do jego boku i ciekawie zerkał na przedmioty leżące na wielkim biurku.

- Słuchaj, chłopcze, jestem zajęty. Dzieciom nie wolno wchodzić do biura.

- Pan Parlance powiedział, że dopóki moja mama jest chora, tylko pan może się zgodzić. Chcę zostać kowbojem, a kowboje jeżdżą na koniach. To czy mogę pojeździć na koniu?

- Nie. - Mitch pokręcił głową.

Joey nie usiłował wymóc na nim zgody, jak to zwykła robić Daisy. Trochę się zgarbił i zrobił rozczarowaną minę.

Mitch przyjrzał się chłopcu. Malec był dobrze wychowany i nienatarczywy. Jack mówił, że chłonał każde słowo kowbojów i godzinami przesiadywał na płocie, przemawiając do koni.

Cholerna sprawa z tym jego okiem. Co jego matka zamierza z tym począć? To nie w porządku, żeby dziecko miało takie problemy, a dorośli nie mogli mu pomóc.

W tym momencie do biura weszła Ginny Morgan.

- Panie Holden, nie miałam pojęcia, że przebywałam tu tak długo.

- Mamo! - ucieszył się Joey i podbiegł do niej. Zadzwoił telefon.

- Joey - objęła go i mocno uściskała.

- Czujesz się lepiej? - spytał malec.

- Holden - powiedział Mitch do słuchawki, obserwując Ginny z synem. Przypomniał sobie widok Marlisse kołyszącej ich córkę. Uwielbiała Daisy. Boże, jak on je kochał. Tęsknił do nich codziennie.

Odwrócił się, skupiając wzrok na folderze. Starał się zignorować scenę rozgrywającą się przy drzwiach. Miał robotę. Im prędzej się nią zajmie, tym prędzej zapomni o bólu serca.

- Mitch powiedział, że nie mogę jeździć konno. Dasz mi konia?

Ginny, by nie przeszkadzać Mitchowi, przeszła z synkiem do pokoju sekretarki.

- Ciszej, pan Holden jest zajęty. Nie, nie możemy mieć konia. Musimy wracać do domu. Tom się wścieknie. Już powinnam być w pracy, a on nawet nie wie, że wciąż jestem w Teksasie.

- Tu jest tak fajnie.

- Ale w domu najlepiej - rzuciła sentencjonalnie. Ginny z podziwem oglądała nowocześnie wyposażone biuro. Od Emaline dowiedziała się, że Mitch prowadzi rodzinną korporację. Niby mieszkał na ranczu, ale miał apartamenty w Los Angeles, Nowym Jorku i Dallas, bo często odwiedzał te miasta w interesach.

- Chcesz zobaczyć koniki, mamó? - spytał Joey.

- Nie teraz. - Poglaskała go po policzku. - Chcę porozmawiać z panem Holdenem. - Zerknęła przez otwarte drzwi. Była zażenowana faktem, że tak długo przebywała w tym domu. Pozostało jej podziękować gospodarzowi i ruszyć w drogę.

- Czy mogę pójść popatrzeć na konie? - spytał Joey. - Pan Parlance powiedział, że mogę na nie patrzeć, ale nie wolno mi ich dotykać. Tylko sobie siedzę na płocie, nie wchodzę do środka.

- Robiłeś tak, kiedy byłam chora? - Ginny pogłaskała go po główce. Jak mogła przeleżeć nieprzytomna całe cztery dni!

- Tak. - Z entuzjazmem skinął głową.

- Więc możesz tam iść, tylko słuchaj starszych. Ale nie siedź za długo, bo zaraz po rozmowie z panem Holdenem wyruszamy w drogę. Wreszcie wracamy do domu.

- Naprawdę musimy? - Posmutniał. - Tu jest tak fajnie. Są konie, krowy, psy, a nawet kotka w stodole, ale nie daje się głaskać ludziom.

- Więc pożegnaj się z nimi.

Chłopiec wybiegł z pokoju. Mitch nadal rozmawiał przez telefon. Ginny poczuła się zmęczona, więc usiadła na krześle za biurkiem. Nie odzyskała jeszcze w pełni sił. Emaline twierdziła, że zdaniem lekarza była o krok od zapalenia płuc.

Zaproponuje Mitchowi zwrot kosztów. Uszczupli to fundusz operacyjny, ale trudno. Nic nikomu nie będzie winna. Ciotka Edith wbijała jej to do głowy od lat.

Zamknęła oczy i usadowiła się wygodniej. Kiedy już rozmówi się z Mitchem Holdenem, znajdzie motel w Tumbleweed i odpocznie tam przez resztę dnia. Rano będzie gotowa do drogi.

Powinna zadzwonić do Toma i uspokoić go, że nie zaginęła bez wieści. A potem jeszcze do swej przyjaciółki Maggie. Pewnie jest ciekawa, jak jej poszło.

Rozmyślając o tym wszystkim, usnęła.

Mitch z zadowoleniem odłożył słuchawkę. Najpewniej nie będzie musiał w najbliższym czasie jechać do Los Angeles, oczywiście jeśli Jim postąpi zgodnie z tym, co obiecał. Sięgnął po telefon, by zadzwonić do agencji. Wreszcie muszą mu kogoś znaleźć, choć Tumbleweed to mała miejscina. Ale te dwie nie nadawały się do niczego.

Skrzypnęło krzesło. Zaciekawiony wstał i przeszedł do sekretariatu. Ginny Morgan spała w krześle Helen. Osuwała się lekko w lewą stronę i jeśli tak dalej pójdzie, zaraz spadnie.

Chwycił ją za ramię i potrząsnął delikatnie. Kiedy otworzyła oczy i spojrzała na niego, stało się z nim coś dziwnego. Wyglądała tak młodo i niewinnie. Włosy jedwabną złotą mgiełką otaczały jej twarz. Oczy lśniły żywym srebrem.

Przez chwilę Mitcha korciło, by dotknąć jej włosów, wpleść w nie dłonie. Zagubić się w srebrnych jeziorach jej oczu i zapomnieć o wszystkich kłopotach. Ocknął się gwałtownie i cofnął rękę. Co mu przychodzi do głowy? Ta kobieta jest tylko kłopotliwym gościem, nikim więcej. A on nie chciał już mieć do czynienia z żadną kobietą. Kochał swoją żonę, załamała go jej śmierć. Nie chciał się już więcej angażować.

- Przepraszam. - Ginny zerwała się z krzesła. - Znowu zasnęłam. Co się ze mną dzieje? Zwykle tryskam energią. - Była pani bardzo chora. Czy nie za wcześnie pani wstała? - Przyjrzał się jej uważnie.

- Nic mi nie jest Wkrótce wyjeżdżam. Chciałabym wszystkim podziękować za pomoc. Chcę również zwrócić koszty...

Pokręcił głową i odsunął się, zanim jej zapach zdążył przyćmić mu rozsądek.

- Nie trzeba. Mam nadzieję, że podróż minie dobrze. - Dziękuję. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Gdyby usłyszał pan o innym Johnie Mitchellu Holdenie, proszę dać mi znać. Zostawię adres i telefon.

Popatrzył na nią przez dłuższą chwilę. Jakie było prawdopodobieństwo, że istniał inny John Mitchell Holden? Czy ona coś knuje? Jeśli tak, o co jej chodzi? Nie napomknęła o tym ani słowem. Jeżeli chce coś wyłudzić, to kiepsko jej idzie. Joey wspomniał o pieniądzach na operację oczu, ale Ginny Morgan nawet się o tym nie zająknęła. Może, tak jak mówi, jest młodą matką, która szuka ojca dziecka.

- Jeżeli kiedyś usłyszę o nim, na pewno zawiadomię panią.

- Jeszcze raz dziękuję, panie Holden. - Wyciągnęła rękę. - Doceniam waszą gościnność.

Uścisnął jej dłoń i zdumiał się odczuciami, jakie temu towarzyszyły. Rękę miała chłodną, silną. Nie przedłużyła uścisku, nie próbowała go uwodzić, a jednak coś się w nim obudziło.

- Powiedz mi, po co tu przyjechałaś, Ginny - rzekł pod wpływem nagłego impulsu. - Joey wspominał coś o operacji oczu.

Wysunęła lekko podbródek.

- Wszyscy widzą, że ma straszego zeza. Ponieważ moje ubezpieczenie nie pokrywa kosztów, więc oszczędzam na operację prawie od urodzin syna. Kiedy przeczytałam artykuł o datku na tę fundację, sądziłam, że chodzi o ojca Joeya. Myślałam... - Urwała gwałtownie.

- Myślała pani, że uzyska od niego pomoc.

Poczerwieniała lekko. Mitch nie pamiętał, kiedy ostami raz widział rumieniącą się kobietę. Nie pasowało to do obrazu, jaki sobie wyrobił o lekkomyślnej dziewczynie, która balowała na plażach, aż wreszcie zaszła w ciążę.

- Brakuje mi tylko paru tysięcy. Pomyślałam sobie, że skoro pan... to znaczy ojciec Joeya uczynił tak hojny dar, to pewnie nie poskapi dwóch tysięcy dolarów na własnego syna. - Mówiła coraz szybciej. - Joey jest naprawdę wspaniałym chłopcem. Nie chcę dopuścić, by zaczynał szkołę z takim obciążeniem.

Mitch potarł kark. Widział Joeya tylko kilka razy. Chłopiec wydawał się szczery i pełen zapału. Martwił się o matkę, zafascynowały go konie. Jack twierdził, że nie sprawiał żadnych problemów i w lot chwycił wszystkie nauki.

Rozumiał determinację Ginny. Gdyby Daisy potrzebowała czegokolwiek, poruszyłby niebo i ziemię. Podszedł do drzwi i spojrział przez okno. Dla córki byłby gotów na wszystko. Kiedy dowiedział się, że pijany kierowca spowodował wypadek, Marlisse i Daisy nie żyły już od kilku godzin.

Ale mógłby pomóc innemu dziecku.

Rozejrzał się po sekretariacie.

- Zna się pani choć trochę na pracy biurowej?

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nieszczerólnie - odparła zdumiona Ginny. Podawanie do stołu nijak miało się do pracy biurowej.

- Odbieranie telefonów, podstawowa znajomość komputera, głównie pisanie - naciskał.

Pomyślała o godzinach spędzonych w Internecie na poszukiwaniu ojca Joeya, o niezliczonych listach, które pisała na bibliotecznym komputerze i rozsyłała po całym kraju.

- Piszę, choć niezbyt szybko, a telefony umie odbierać każdy.

- Potrzebuję pomocy w sekretariacie. Helen, moja asystentka, musiała kilka dni temu wyjechać w pilnej sprawie rodzinnej. Były tu już dwie niekompetentne panie, które wprowadziły dodatkowy chaos do bałaganu, a ten i tak się powiększa.

- Mam pracę w Fort Lauderdale.

- Zawrzyjmy umowę. Pokryję różnicę w kosztach operacji Joeya. Można ją zrobić w Dallas. W zamian będzie pani pracowała dla mnie aż do powrotu Helen.

To radykalnie rozwiązałoby problem zastępstwa. Ginny popatrzyła na niego podejrzliwie. Zapłaci za operację obcej osoby? Gdzie tu jest haczyk?

- Na jak długo wyjechała Helen?

- Nie mam pojęcia, na kilka tygodni, a może miesięcy. Powiadomi mnie, gdy będzie pewna, że może już wracać. Więc jak, umowa stoi?

Ginny poczuła przyływ nadziei. Musi tylko zadzwonić do Toma i upewnić się, jak długo zachowa dla niej miejsce w restauracji. Ale czy warto się o to martwić, skoro Joey będzie zoperowany? Zresztą nie ma zbyt wielu dobrych kelnerek i zawsze znajdzie jakąś pracę.

- Wyłącznie praca biurowa? - Chyba nie spodziewa się jakichś... dodatkowych usług?

- Mam już gospodynię, a Emaline znakomicie się sprawdza jako hostessa podczas oficjalnych przyjęć. Potrzebuję jedynie pomocy biurowej.

- Nie będę tak szybka jak doświadczona sekretarka. - Po co to powiedziała? Powinna w lot chwycić taką okazję, nie oglądając się na nic.

Oferta była zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Gdzieś musiała kryć się pułapka, ale Ginny nie dbała o to. Najważniejsze, że Joey będzie operowany.

- Zaoszczędziłam kilka tysięcy dolarów. Przetransferuję je tu z mojego banku. Wtedy będzie pan wiedział, ile wynosi różnica.

- Niech się pani nie martwi o koszty. Proszę zatrzymać pieniądze. Wszystko uzgodnimy po operacji. Czy może pani zacząć od zaraz?

- Aż nie wierzę, że robi to pan dla mnie. Dla Joeya. Mitch przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią.

- Robię to dla Daisy...

Zadzwonił telefon.

Ginny zerknęła na aparat, potem na Mitcha.

- Zaczynam od razu?

Zawahał się, widząc jej bladość.

- Popracuj do lunchu, potem przez resztę dnia odpoczywaj. Od jutra już cały dzień. - Skinął w stronę telefonu - Odbierz jako Holden Enterprises.

Podniosła słuchawkę i silnym, stanowczym głosem powiedziała nazwę firmy. Widziała mnóstwo seriali, by zapamiętać, jak działają wykwalifikowane sekretarki. Szkoda tylko, że jej sprane dzinsy i luźny podkoszulek nie pasowały do tej roli.

Zakryła dłonią mikrotelefon.

- Pan z banku.

- Odbiorę w gabinecie.

Ginny trzymała słuchawkę przy uchu, aż rozległ się w niej głos Mitcha, potem odłożyła ją. Speszyła ją obfitość przycisków i symboli na obudowie telefonu. Oczywiście, w biurach było zawsze kilka linii telefonicznych. Czy znajdzie również instrukcję, z której nauczy się, jak obsługiwać ten aparat?

Była oszołomiona i podniecona. Mitch Holden załatwi operację Joeya.

W ciągu paru tygodni jej syn będzie wyglądał normalnie. Wielki kamień spadł jej z serca. A spowodował to Mitch Holden.

Ale czemu to robi? Bez problemu mógłby zaangażować fachową sekretarkę. Czemu chce zapłacić tak ogromną sumę za ograniczony okres zatrudnienia?

A gdzie ona będzie w tym czasie mieszkać? Kto zajmie się Joeyem? Chłopiec nie może biegać samopas po ranczu.

Musi zadzwonić do Toma, a potem do Maggie, by opowiedzieć jej, co się stało i gdzie jest.

Wiedziała, że Daisy była córką Mitcha. Emaline nakarmiła ją taką ilością historyjek o małej dziewczynce, że Ginny czuła się, jakby poznała ją osobiście. To takie straszne, stracić dziecko... Musi jak najlepiej wywiązać się z umowy. Miała nadzieję, że pomagając Joeyowi, Mitch choć trochę ukozi ból po stracie córki.

Ponieważ Mitch większość czasu rozmawiał przez telefon, do pory lunchu Ginny przejrzała wszystkie szuflady i fiszki na biurku Helen. Chciała nauczyć się jak najwięcej na temat funkcjonowania sekretariatu, by nie zawieść Mitcha Holdena. I tak nie zdoła mu odpłacić za hojny dar, ale zrobi wszystko, co w jej mocy, by okazać się pomocną.

Przejrzała adresownik, żałując, że Helen nie może opowiedzieć jej o umieszczonych tam osobach, zwłaszcza gdy zapisano jedynie imiona jak Hank czy Sara.

Ginny miała znakomitą pamięć. Nieraz przyjmowała zamówienia od dużych grup bez pomocy notesu. Jeśli Mitch poprosi ją o połączenie z kimkolwiek, będzie pamiętała, czy ta osoba figuruje w spisie.

Niestety nie znalazła instrukcji do telefonu. Pozostaje metoda prób i błędów, pomyślała... i rozłączyła rozmowę.

Skoro Mitch Holden chce, by obsługiwała centralkę, powinien ją tego nauczyć.

Zadzwoił stojący obok centralki telefon.

- Holden Enterprises - rzekła różnym tonem.
- Cześć, mamó. Rosita powiedziała, żebym spytał, czy przyjdiesz na lunch. Przygotowała tacos, sałatę i inne fajne rzeczy!

Ginny zerknęła na zegarek. Dochodziła pierwsza.

- Tak, zaraz przyjdę. - Poranne godziny minęły błyskawicznie.

Mitch znów rozmawiał przez telefon. Ginny starannie zapisała nazwiska i telefony ludzi, którzy zostawili wiadomość dla szefa. Porządkując te informacje, miała nadzieję, że Mitch się w tym połapie.

Czy może wyjść tak po prostu, czy też powinna go poinformować, że idzie na lunch? Weszła do pokoju z kartkami w ręku. Mitch spojrzał na nią i zakrył słuchawkę ręką.

- Czegoś potrzebujesz, Ginny?
- Joey zadzwonił, że Rosita przygotowała lunch.
- Proszę przynieść mi talerz. - Wrócił do przerwanej rozmowy.

Położyła notatki na biurku i wyszła.

Ledwie mogła uwierzyć w to, co się zdarzyło podczas ostatnich dni. Mitch nie był tym, którego szukała, a ona padła zemdlna niczym jakaś wiktoriańska paniusia. Wciąż nie mogła uwierzyć, jak troskliwie opiekowali się nią Holdenowie

przez te cztery dni. A zamiast zażądać zwrotu kosztów, Mitch jest gotów zapłacić za operację Joeya! To wszystko było jak sen. Czy obudzi się i stwierdzi, że zasnęła do pracy?

Wchodząc do domu, Ginny poczuła, że jest wykończona. Nie zamierzała nikomu o tym mówić. Nie chciała, by Mitch pomyślał, że zrezygnowała, bo nie zdołała sprostać zadaniu. Miała nadzieję, że posiłek ją pokrzepi i może nawet pozwoli na wytrwanie w pracy do końca dnia.

A może lepiej skorzystać z propozycji Mitcha i wziąć wolne popołudnie. Musi zaplanować ich pobyt w Teksasie. Emaline wspomniała coś o niezbyt drogich mieszkaniach. Jeśli nie wróci do biura, pojedzie do Tumbleweed i znajdzie jakieś lokum. I przedszkole dla Joeya.

Czekało ją mnóstwo spraw do załatwienia, ale żadna nie wydawała się za trudna. Przecież jej kochany chłopczyk będzie miał wkrótce normalny wzrok,

Emaline i Joey siedzieli przy wielkim stole w jadalni.

- Mitch nie przyjdzie? - spytała Emaline.

- Rozmawia przez telefon. Prosił, żebym przyniosła mu talerz. Mam to zrobić od razu?

- Nie, kochanie. Siadaj i jedz. Wyglądasz blado. Może powinnaś się potem zdrzemnąć. W końcu wstałaś po raz pierwszy od czterech dni. Moja mama zawsze powtarzała, że kobieta musi sama o siebie zadbać, bo na mężczyzn nie ma co liczyć.

- Tacos - powiedział Joey, trzymając kukurydzianą tortillę nadziewaną mięsem, sałatą i serem.

- Wygląda apetycznie, kochanie. - Ginny zajęła wskazane przez Emaline miejsce i wkrótce na jej talerzu znalazła się pyszna sałatka. Rosita przygotowała tradycyjne tacos dla Joeya. Ginny była zdumiona i wzruszona dodatkowym wysiłkiem, jaki gospodyni włożyła w rozpieszczanie jej synka.

- Pójdiesz ze mną popatrzeć na koniki?

- Twoja mama musi odpocząć - rzekła z naciskiem Emaline.

- Och, nie mogę. Mitch zatrudnił mnie w biurze do czasu powrotu jego sekretarki. Nie mam czasu na drzemkę. Tyle jest do zrobienia.

- Nonsens. Widzę, że jesteś wyczerpana. Drzemka jest ważna. Sama mu to powiem.

Perspektywa utraty pracy przed końcem pierwszego dnia zaświtała w umyśle Ginny.

- Nic mi nie jest. Lunch dodał mi sił. Jestem wdzięczna za tę pracę i nie chcę zaprzepaścić szansy.

- Ciocia Emaline powiedziała, że pójdzie ze mną do koni.

- Joey! To nie jest twoja ciocia.

- Prosiłam chłopca, żeby nazywał mnie ciocią. Jest mały, a ja tak kocham dzieci. Uwielbiałam, kiedy Mitch, jego siostra i kuzyni byli mali. Daisy była taka kochana...

- To straszne, że nie żyje - mruknęła Ginny.

- Tak... Zginęła dwa lata temu. Miała osiem lat, gdy ten cholerny pijak wjechał w bok ich auta. Policja twierdziła, że ona i Marlisse nie miały szans. - Emaline pokręciła głową. - W pierwszej chwili bałam się, że Mitch tego nie przeżyje. Omal nie oszalał. Potem odgrodził się od wszystkiego.

Wzrok Ginny spoczął na Joeyu, jej kochanym dziecku. A gdyby jemu coś się stało? Czy zdołałaby to przeżyć? Pewnie umarłaby z żalu po nim.

- Daisy tak samo kochała konie jak Joey. Uwielbiała jeździć. Miała milutkiego kucyka. Nie wszystkie kuce są miłe, ale ten był. A w domu na krok nie odstępowała ojca. Marlisse mogła mieć tylko jedno dziecko i oboje szaleli na jej punkcie.

- Mitch obiecał, że zapłaci brakującą kwotę za operacją Joeya - rzekła Ginny. - Powiedział, że to dla Daisy.

- Naprawdę? - Emaline zadumała się na chwilę. - Zawsze miał słabość do dzieci, ale po śmierci Daisy dał jasno do

zrozumienia, że nie życzy sobie ich w tym domu. W naszej rodzinie jest dużo dzieci, ale tu nikt ich nie przywozi...

- To smutne, ale rozumiem Mitcha. - Ginny otrząsnęła się z ponurych myśli. - Muszę wynająć jakieś mieszkanie, może pani coś mi podpowie w tej sprawie?

- Nawet nie chcę o tym słyszeć! Ty i Joey musicie zostać tutaj. Przypilnuję go, kiedy będziesz w pracy. Rosita też kocha dzieci. Ma ich siedmioro i czworo wnucząt. Poza tym mieszkając tu, nie będziesz tracić czasu na dojazdy. A kto zapewni Joeyowi lepszą opiekę po operacji niż my? - Emaline uśmiechnęła się promiennie.

Suknia w różowym kolorze doskonale pasowała do jej śnieżnobiałych włosów i zarumienionych policzków. Ginny czuła szczerą bijącą z jej słów. Emaline naprawdę lubiła ludzi i chciała pomóc. W dodatku kochała dzieci. Trudno o lepszą opiekunkę dla dziecka.

Tyle że Ginny do tego nie dopuści. Bo jak zareagowałby Mitch, gdyby przyjęła tę propozycję? Oferta pracy nie przewidywała wikt i zakwaterowania. Poza tym Ginny nie powinna nadużywać gościnności tych ludzi.

Szybko dokończyła lunch i obiecała, że jeśli da radę, pójdzie z Joeyem obejrzeć konie. Wzięła gorący półmisek od Rosity i pospieszyła do biura. Wciąż czuła się zmęczona, ale nie tak jak przedtem.

Zamyślony Mitch stał przy faksie, który wypluwał kolejne strony. Ginny przyglądała się szefowi, nim spostrzegł, że wróciła. Był smutny, zamknięty w sobie, odległy. Szkoda, że odepchnął od siebie rodzinę, być może z ich pomocą łatwiej poradziłby sobie z żałobą, która trwała już dwa lata, a końca nie było widać. Powinien mimo wszystko spróbować odnaleźć szczęście. Ginny wiedziała coś o tym, bo straciła rodziców, a niedawno ciocię Edith.

Mitch podniósł wzrok, podchwycił jej spojrzenie, potem zauważył półmisek.

- Dzięki, zgłodniałem.

- Rosita powiedziała, że ma pan zjeść wszystko.

- Gdybym jadł wszystko, co szykuje mi Rosita, musiałbym spać w stodole, bo nie utrzymałoby mnie żadne łóżko.

Ginny uśmiechnęła się. Może nie był takim ponurakiem?

- Przypilnuję faksu, kiedy będzie pan jadł. Zacina się?

- Nie. Czekam, żeby przeczytać raport.

- Proszę zjeść. Przyniosę, jak przejdzie całość.

Mitch zabrał półmisek do gabinetu i zaczął jeść, zerkając do sekretariatu. Widział Ginny, która stała przy faksie i odbierała kolejne kartki. Dżinsy wisiały na niej. Czy wychudła podczas choroby, czy była taka szczupła z natury? Wystarczy zaledwie kilka tygodni na wikcie Rosity, by przytyła.

Odwrócił wzrok. Co go to obchodzi? To tylko Ginny Morgan, która będzie mu pomagać do powrotu Helen. Ginny o blond włosach i skrzących się srebrnych oczach... Tylko dlaczego jest taka blada? Mieszka przecież na słonecznej Florydzie. Czy to przez chorobę?

Zjadł kolejny kęs, próbując odpędzić te myśli. Co mu do tego? Grunt, że nie uciekła jak jej poprzedniczki.

Weszła do gabinetu i położyła na biurku raport.

Skinął głową, lecz nie wróciła do sekretariatu. Spojrzał na nią i zobaczył, że jest zdenerwowana.

- Coś nie tak, Ginny?

- Hm... - Poszukała jego wzroku. - Pańska ciotka zaproponowała, żebym zamieszkała tu na czas pracy. Prosiłam ją, żeby poleciła mi jakieś miejsce w mieście, gdzie mogłabym się zatrzymać, ale nalegała. Jestem pewna, że pokój i jedzenie nie wchodzi w zakres umowy, więc może pan wskaże mi jakąś agencję zajmującą się wynajmem lokali.

Jeśli zamieszka w mieście, to w jakimś tanim umeblowanym mieszkanku, bo na nic innego jej nie stać. W dodatku Joeyem będą musieli opiekować się obcy ludzie, co źle wpłynie na jej nerwy, zwłaszcza po operacji. A przecież powinna skupić się na pracy.

Emaline i Rosita z radością zajmą się rozpuszczaniem chłopca.

- Najwygodniej byłoby dla wszystkich, gdyby zamieszkała pani tutaj. Jeśli nie odpowiada pani liliowy pokój, Rosita przygotowuje inny.

Zdumiona popatrzyła na niego.

- Nie mogę tu zostać.

- Dlaczego? - Wyciągnął się w krześle.

- Już i tak dużo pan dla mnie zrobił. Nie mogę.

Na pewno nie zamierzała go naciągać. Miał szczęście do dumnych, stanowczych kobiet. Marlisse była bardzo niezależna. Teraz ta. Chcesz zrobić dobry uczynek, to musisz się o niego wykłócać!

Dobry uczynek? Po prostu pomaga dziecku w potrzebie. Nic łatwiejszego, jak wydać na to pieniądze. A ma ich pod dostatkiem. Tyle że nic nie znaczą. Wszystkie pieniądze świata nie przywrócą mu Daisy ani Marlisse.

Zwykle jawiły mu się przed oczami, gdy o nich myślał. Ale teraz widział jedynie Ginny.

- Muszę przeczytać ten raport i przygotować odpowiedź. Trzeba będzie odesłać ją faksem jeszcze dziś. Proszę znaleźć teczkę Milforda. Pani poprzedniczki nie umiały znaleźć niczego, o co prosiłem. Czy to takie trudne?

Ginny miała minę, jakby nadal chciała sprzeczać się o mieszkanie, lecz jego słowa ucięły wszelką dyskusję. Zrozumiała to w mig.

Mitch odprężył się nieco, kiedy przeszła do sekretariatu, otworzyła szafkę z aktami i zaczęła przeglądać szufladę po

szufladzie. Słyszał, jak zatrzaskuje je z hukiem. A więc pani ma humory. Wyglądała tak słodko, niewinnie i kobieco, że się tego nie spodziewał. Nauczyła się nad sobą panować, ale trzaskające szuflady ją zdradziły. A gdyby nie była tak skrepowana? Czy jej temperament objawiał się też w innych sferach życia? Choćby w związkach z mężczyznami?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Podczas kolacji Ginny miała znakomity nastrój. Przepracowała kilka godzin po lunchu, umówiła na jutro wizytę Joeya u lekarza, a także ucięła sobie uzdrawiającą drzemkę. Mniej podobało jej się to, że zostanie na ranczu do powrotu Helen, a przez większość dnia Joeyem zajmować się będzie Emaline. Nie powinna jednak narzekać, bo najważniejsza była operacja.

Odczuwała też dużą niedogodność z tego powodu, że zabrała ze sobą tak niewiele ubrań, nie mogła jednak przewidzieć, że tak długo będzie poza domem. W rezultacie podczas kolacji Emaline miała na sobie przyciągającą wzrok kwiecistą suknię, natomiast Ginny - stare spodnie i bluzkę.

Emaline, Ginny i Joey siedzieli przy stole, czekając na Mitcha.

- Zaraz przyjdzie, wtedy zaczniemy jeść - powiedziała Emaline. - Mam nadzieję, że apetyty wam dopisują, bo Rosita gotowała całe popołudnie. - Spojrzała na Ginny. - Dobrze spałaś, złotko?

- Drzemka była cudowna, dziękuję.

Atmosfera była dość oficjalna. Ginny miała nadzieję, że Joey zapamiętał lekcje dobrych manier. Czterolatki czasami o nich zapominają.

Mitch, ujrawszy trzy osoby przy stole, zawahał się w progu. Ginny przestraszyła się, że wyjdzie. Czułaby się fatalnie, gdyby stała się przyczyną domowych niesnasek. Jednak Mitch, ku jej uldze, podszedł do stołu i usiadł.

- Nie wiedziałem, że będziemy jedli razem - mruknął, zerkając na ciotkę.

- Skoro Ginny już wstała i czuje się lepiej, pomyślałam, że chciałbyś, byśmy jadali wspólnie. Gwarniej to przyjemniej, nie uważasz? Joey też bardzo lubi towarzystwo, dla dzieci takie wspólne posiłki są bardzo ważne. - Emaline była

zachwycona swoim pomysłem. - Wydaje mi się, że Ginny nabrała nieco kolorów, nie sądzisz? Kiedy przyjechała, była taka bladziutka.

Ginny z miejsca się zarumieniła. Zerknęła na Mitcha, który przyglądał się jej uważnie. Z łopoczącym sercem pomyślała, czy nie popełniła błędu, zamieszkując w tym domu. Nie mogła sobie wmawiać, że obecność Mitcha nie wywiera na niej wrażenia, mimo że absolutnie nie była zainteresowana bliższymi kontaktami. Uczucia zachowała dla Joeya.

Na kolację Rosita przygotowała smażone kurczaki, ziemniaki, jarzyny i chrupiące bułeczki. Poustawiała półmiski na stole i wyszła Mimo wysiłków Emaline, panowała sztywna atmosfera. Ginny czuła się niezręcznie po wypowiedzi Mitcha, on zaś jadł pospiesznie, jakby równie mocno chciał się stąd wyrwać. Ginny postanowiła, że od jutra będzie z Joeyem jadła w swoim pokoju.

Emaline nie wyczuła złych fluidów, podobnie zresztą jak Joey, który wcinał, aż mu się uszy trzęsły.

- Co dzisiaj robiłeś? - zagadnęła chłopca. - Oczywiście oglądałeś konie, ale co oprócz tego?

- Pan Parlance powiedział, że mogę przyglądać się kotkowi w stodole i pozwolił mi pogłaskać psy, ale nie mogłem się z nimi bawić, bo te psy pracują na nocnej zmianie i nie chciał, żebym je rozpuścił - oznajmił z powagą Joey.

- Też coś! Te psy świetnie stróżują, a odrobina zabawy z małym chłopcem wcale by ich nie zepsuła. Prawda, Mitch?

- Emaline, tym zarządza Jack.

- Mógłbyś mu powiedzieć, że Joeyowi wolno pobawić się z psami. Daisy tak właśnie robiła. Mali chłopcy zawsze chcą mieć psa.

Napięcie przy stole wzrosło nieprawdopodobnie. Ginny wstrzymała dech. Wiedziała, że Mitch nigdy nie mówił o

żonie i córce, a na domiar złego Emaline tak prowadziła rozmowę, jakby chciała zasugerować, że Ginny i Joey mogą zastąpić Mitchowi utraconą rodzinę. Ginny oczywiście była jak najdalsza od takich pomysłów, lecz jak miała to oznajmić? Mogła zrobić tylko jedno. Jeśli Emaline nadal będzie napierać w tym kierunku, wyprowadzi się stąd z Joeyem.

- Proszę mi wybaczyć. - Mitch ulotnił się z jadalni błyskawicznie.

- Och jej, nie powinnam tego mówić. Mitch jest taki drażliwy, gdy idzie o Marlisse i Daisy. Ale chciałam, żeby Joey bawił się z psami. Daisy bawiła się z uroczą suczką Sophie. Myślę, że od tamtej pory co najmniej raz się oszczeniła. Ale mniejsza z tym. Psy na pewno nie skrzywdzą Joeya, a on ich nie rozpuści. - Emaline pokręciła głową. - Mitch zachowuje się, jakby Daisy i Marlisse nigdy nie istniały. Mnie też ich brak, ale wspominam najpiękniejsze chwile i chciałabym jakoś je przywrócić - zakończyła ze smutkiem.

Ginny ostatecznie upewniła się, że wobec postawy Emaline absolutnie nie może zostać w tym domu. Znajdzie jakieś mieszkanie dla siebie i Joeya, zanim Mitch jej to nakaze. Miała tylko nadzieję, że zachowa pracę, dzięki której jej syn będzie operowany.

Po kolacji zabrała Joeya do jego sypialni i powiedziała:

- Rano poszukamy sobie miłego mieszkania w Tumbleweed.

- Mamo, a możemy wziąć psa?

- Nie tutaj. Kiedy wrócimy do domu, spytam administratora. Jak się zgodzi, poszukamy jakiegoś szczeniaczka.

- A konia?

Rozbawiona Ginny uścisnęła synka.

- Byle nie konia. Boże, już z psem będzie nam ciasno, a gdzie zmieścimy konia?

Joey zaproponował na stajenkę najpierw balkon, potem łazienkę, a na koniec swój pokój. Ginny dodała również ciekawe lokalizacje, i po chwili zaczęli ze śmiechu turlać się po łóżku. To była jedna z tych cudownych, pełnych radości i uczucia chwil, które uskrzydlały Ginny i dodawała jej sił do walki z przeciwnościami losu. Tak bardzo kochała synka. Jego ojciec nawet nie wie, ile stracił, nie znając go. Gdyby go wreszcie znalazła...

Ułożyła Joeya do snu i pocałowała na dobranoc.

- Śpij, kochanie. - Nagle zaczęła sobie wyobrażać, co czuł Mitch po stracie córeczki. I jak zdołał po tak strasznej tragedii dojść do na pewno chwiejnej, ale jednak równowagi...

Zeszła na dół. W domu panowała cisza. Świeciło się jedynie w bawialni, korytarzu i gabinecie. Ginny zajrzała do obu pokoi, były jednak puste. Już miała wrócić na górę, lecz jakby wiedziona jakąś siłą pchnęła frontowe drzwi i wyszła na werandę.

Panował tu półmrok rozjaśniany jedynie blaskiem padającym z okien bawialni. Pogrążony w zadumie Mitch siedział w fotelu.

- Przeszkodziłam panu?

- Nie. - Ton głosu Mitcha świadczył o czymś wręcz przeciwnym, jednak Ginny nie chciała zwlekać ze swoją sprawą.

- Przepraszam za nieporozumienie podczas kolacji.

- Ciocia Emaline może zapraszać do stołu, kogo chce.

- Wyjedziemy stąd z samego rana.

- O czym pani mówi? - Zerwał się z fotela i podszedł do Ginny.

- Nadal będę pracowała dla pana. I jestem bardzo wdzięczna za operację. Zwrócę co do centa.

- Nie potrzeba.
- Ale nie mogę tu zostać, skoro to panu nie na rękę.
- To ja decyduję, co jest mi na rękę, a co nie. Proszę zostać.

- Nie mogę. Nie możemy. To zbyt nietaktowne... zbyt bolesne.

- Słucham?!

- Widzę to w pańskich oczach. Nie chce pan, żeby Joey się tu kręcił. Żadnych dzieci. Wiem od Emaline, że znika pan, kiedy przyjeżdża siostra z dziećmi, przestał pan zapraszać kuzynów i krewnych. Rozumiem, że to z powodu Daisy, dlatego musimy wyjechać.

Odwrócił się i popatrzył w noc. Ginny chciałaby uśmierzyć jego cierpienie, ale nie miała takiej mocy. Pozostało jej tylko w ciszy opuścić werandę.

- Miała osiem lat. - Głos Mitcha drżał. - Osiem. Powinna żyć jeszcze z osiemdziesiąt!

Z tak wielkim bólem Ginny jeszcze nigdy się nie zetknęła.

- To straszne - szepnęła. - Jestem matką, ale wprost nie umiem sobie wyobrazić, co pan czuje.

- Żona i córka zginęły w tak bezsensowny sposób.

- Wiem. - Spontanicznie dotknęła jego ramienia. Mitch odwrócił się ku niej. Ginny wstrzymała oddech.

Tu działo się coś dziwnego. Czyżby chciał ją pocałować? Serce zabiło jej mocniej. Pierwszy raz od zniknięcia Johna Mitchella Holdena zapragnęła dotyku męskich ust. Niczym zahipnotyzowana czekała kilka chwil, aż napięcie stało się wręcz namacalne.

Wreszcie Mitch odwrócił się i wyszedł z werandy.

Patrzyła za nim, jak znikał w ciemnościach nocy, prosty, silny... i zupełnie sam. Była pewna, że tak jak ona, również chciał tego niespełnionego pocałunku.

Czy życie niczego jej nie nauczyło? Powinna się bać wypełniającego ją uczucia, powinna w zarodku zdusić pragnienia. Nie wolno jej poddawać się nastrojowi chwili, jak to miało miejsce przed momentem. Jest sekretarką Mitcha i ciężką pracą odwdzięczy mu się za hojny dar, a całe jej prywatne życie należy do Joeya.

Wracając do pokoju, umacniała się w tym postanowieniu. Zgodnie z logiką było to jedyne rozsądne wyjście, a jednak Ginny wciąż bardzo pragnęła pocałować Mitcha. Nie mogła zapomnieć cudownej chwili oczekiwania na coś, co jednak się nie spełniło. Przez moment czuła się jak w niebie...

Szybko przywołała się do porządku. Dla Mitcha jest nikim, dlatego lepiej będzie dla niej, jeśli zapanuje nad swymi emocjami.

Mitch zatrzymał się przy padoku. Jak mógł przypuszczać, że ucieknie od cierpienia, jeśli pocałuje z Ginny? To zupełnie nie w jego stylu. W celibacie czekał na wyśnioną kobietę, aż spotkał Marlisse, a po jej śmierci żył w całkowitej samotności. I tak powinno pozostać.

Zachował się idiotycznie. Ginny i tak chce się stąd wynieść, a on dostarczył jej nowych powodów ku temu. Z niesmakiem pokręcił głową. Była jego gościem, należała się jej opieka i ochrona, a nie obawa przed molestowaniem ze strony szefa.

Tak, wzbudziła w nim pożądanie. Jednak nie Ginny powinien za to winić, ale siebie, bo w ten sposób zdradzał Marlisse... Dlaczego, do cholery, Ginny tu dotarła? I kto podszył się pod niego pięć lat temu?

Poszedł do biura. Potrzebował ciężkiej pracy, by odpędzić niechciane myśli. Na pewno łatwiej przyjdzie mu rozwiązać problemy związane z umową z Hollisterem, niż poradzić sobie z zamieszaniem, jakie powstało po przybyciu Ginny i jej synka.

Nim nastał świt, Mitch wypił trzy dzbanki kawy, ale znalazł zbawienny kruczek w umowie z Hollisterem. Przygotował Ginny stos kartek do przetasowania i poczuł się kompletnie wykończony. By jakoś dojść do siebie, postanowił przed prysznicem trochę pojeździć konno.

Obiecał sobie nie zatrzymywać na siłę Joeya i jego matki na ranczu. Może będzie lepiej dla wszystkich, gdy znajdą sobie mieszkanie w mieście.

Jednak wiedział, że wolałby mieć Ginny bliżej.

Osiadł ulubionego konia i ruszył na przejażdżkę. Mijając dom, zerknął na pokój, w którym spała Ginny... i zdało mu się, że tuli jej smukłe ciało w ramionach. Zaraz się jednak otrząsnął. Z klusa wszedł w galop, potem w cwał, by pęd i wiatr przegnały z jego głowy głupie myśli.

Kiedy Ginny weszła do kuchni, zdumiała się na widok Joeya, który w najlepsze pałaszował śniadanie.

- Nie słyszałam, kiedy wstałeś. - Cmoknęła go w policzek.

- Cześć, mamó. Byłem głodny.

- Zaraz przyniosę pani tacę do pokoju - powiedziała Rosita.

- Wolałabym zjeść tu, z Joeyem.

- Na co ma pani ochotę? Mogą być jajka, gorące parówki, bułeczki i mamałyga.

- Wszystkiego po trochu. - Ginny usiadła obok Joeya i spojrzała na Rositę: - Może wiesz o niedrogim mieszkaniu w Tumbleweed?

- Myślałam, że pani zatrzyma się w domu. Tak mi powiedziała pani Emaline.

- Chyba będzie lepiej dla wszystkich, jeśli przeniesiemy się do miasta.

- Mam nadzieję, że nie chodzi pani o mnie. W tej wielkiej rezydencji powinno być dużo ludzi, ale tak nie jest. Ckni mi

się do czasów, kiedy było tu gwarno i wesoło, a w kuchni musiałam mieć dziewczynę do pomocy, by nadażyć z gotowaniem.

Ginny spojrzała na Joeya, potem znów na Rositę.

- Mitch uważa inaczej. Zakłóciliśmy mu spokój, postawiliśmy w sytuacji, której wolałby uniknąć.

- Tak... - Rosita zadumała się na chwilę. - Chodzi o panią Marlisse i panienkę Daisy, ale przecież czas płynie. Myślę, że pani i Joey jesteście potrzebni panu Holdenowi, choć może sam o tym nie wie.

- Już dużo dla nas zrobił. Nie chcę stawiać go w niezręcznej sytuacji.

- Moja przyjaciółka, Samantha Billing, pracuje w agencji nieruchomości. Dam pani jej adres, ale najpierw muszę uzgodnić to z panem Holdenem.

- Dzięki. Jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciw temu. - Zadowolona z załatwienia sprawy Ginny zabrała się do jedzenia. Po chwili spytała Joeya, jak zdołał się ubrać.

- Ciocia Emaline powiedziała, że jestem duży i na pewno sobie poradzę, więc sobie radziłem, jak byłaś chora. Teraz mogę sam się ubierać - stwierdził z dumą.

Po śniadaniu Ginny poszła do biura. Była rozczarowana, że nie zastała Mitcha, za to na jej biurku piętrzyły się stosy kartek i krótka instrukcja. Był szef, czy go nie było, i tak miała pełne ręce roboty.

Poczuła ciepło w sercu, gdy przeczytała, że Mitch pojawi się w biurze przed jej wyjazdem do doktora. Pamiętał o tym... Nie mogła jednak zająć się poszukiwaniem mieszkania, bo Rosita bez zgody szefa nie chciała dać jej adresu swej przyjaciółki.

Szybko rozgryzła, jak obsługuje się faks i przystąpiła do pracy. Odebrała też kilka telefonów i starannie zapisała wiadomości.

Mitch wszedł do biura, gdy wysyłała ostatnią stronę faksu. Przez chwilę Ginny poczuła panikę. Czy powinna coś powiedzieć o ubiegłej nocy, czy przemilczeć ten incydent? Przecież nic takiego się nie stało. Co najwyżej miała wrażenie, że jej życie znów znalazło się nad przepaścią i nie wiedziała, czy w nią wpadnie.

- Dzień dobry, Ginny.

- Dzień dobry. - Serce jej podskoczyło, oblała się rumieńcem... Kiedy wreszcie wyrośnie z tych dziecinnych reakcji?

Mitch szybko przemknął do siebie, jednak zostawił otwarte drzwi. Pewnie tak pracowali z Helen, by łatwiej się komunikować.

Odebrała telefon.

- Joel Brady - zawołała.

Kiedy telefon znów zadzwonił, odebrała i zauważyła, że Mitch wciąż rozmawia z panem Bradym.

- Harry z Los Angeles. Powiedz Mitchowi, że widziałem już różne środki ostrożności, ale jedenaście czystych kartek wysyłanych faksem to już przesada. Co mam z tym zrobić?

- Czystych? Wszystkie były zapisane... Kto mówi?

- Harry z Los Angeles. Ty nie jesteś Helen, prawda? Co z nią?

- Wyjechała. Zastępuję ją... - I dałam straszną plamę, pomyślała w popłochu. - Myślałam, że wysłałam prawidłowo.

- Nic nie przyszło. Czy odwróciłaś kartki, wkładając do podajnika? Zrób tak i wyślij mi je jeszcze raz.

- W tej chwili.

- Doskonale. Niech Mitch zadzwoni do mnie, kiedy będzie wolny.

Ginny szybko odwróciła kartki i wysłała je ponownie, a potem spojrzała na Mitcha. Mimo nienagannej prezencji,

wydawał się zmęczony. Podchwycił jej spojrzenie i trwał tak co najmniej minutę. Serce Ginny zabiło żwawiej.

Po jedenastej uporządkowała biurko. Wizyta u specjalisty umówiona została na drugą po południu w centrum Dallas. Ginny była trochę niespokojna, czy bez błędzenia uda się jej znaleźć adres w nieznanym mieście.

Mitch odłożył słuchawkę, wyszedł z gabinetu i zerknął na zegarek.

- Niebawem musimy jechać. Zjemy lunch po drodze.

- Słucham?

- Zawiozę was do Dallas.

- Dam sobie radę. Ma pan dużo pracy. - Nie zabrzmiało to zbyt grzecznie, ale wiedziała, że Mitch unika kontaktów z dziećmi.

- W nocy załatwiłem najważniejsze sprawy. Telefony mogą poczekać. Podwiozę was i odbiorę, kiedy skończycie. Jed powiedział, że testy i badania potrważą ze dwie godziny. W tym czasie zajrzę do mojego biura w Dallas.

- Dziękuję. - Była naprawdę wdzięczna. Jej auto lubiło nawalać w najmniej odpowiednich momentach, no i zupełnie nie znała Dallas.

Poczuła się jeszcze lepiej, gdy zajęła miejsce na przednim siedzeniu w luksusowej limuzynie. Dzięki klimatyzacji panował tu miły chłód, a jako pasażerka mogła spokojnie kontemplować teksańskie krajobrazy na tle bezchmurnego nieba. Natomiast Joey z zapałem oglądał obrazki w książeczce.

Ginny wiedziała, że dojazd do Dallas zajmie im sporo czasu. Powinna milczeć czy wdać się w pogawędkę? Z natury była otwarta i łatwo nawiązywała kontakty z ludźmi, ale Mitch był inny.

- Czy daleko jest od lekarza do pańskiego biura w Dallas?

- przerwała w końcu niezręczną ciszę.

- Tylko parę przecznic. Zostawię numer telefonu. Proszę mnie zawiadomić, jeśli wizyta potrwa krócej.

- Przejdziemy się pieszo, przynajmniej zobaczymy kawałek Dallas.

- Nie radzę, bo jest straszny upał i twój syn może za bardzo się zmęczyć.

- Nazywa się Joey - mruknęła. Nigdy nie słyszała, by Mitch nazwał go po imieniu.

- Joey, wiem. Ma pięć lat?

- Trzeba poczekać do urodzin. Na razie ma cztery.

- Jest wysoki jak na swój wiek.

- Jego ojciec był wysoki. Mitch zerknął na nią.

- Musi być ciężko samotnie go wychowywać.

- Taka sytuacja ma też swoje zalety. - Ale głównie wady, pomyślała. Dlatego, od kiedy wiedziała, że jest w ciąży, starała się odnaleźć ojca Joeya. Wszystkie dzieci powinny mieć oboje rodziców, nawet jeśli nie mieszkają oni razem.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia trzy.

- Taka młoda? - zdumiał się.

- A ile mi pan dawał?

- Więcej, choć nie wyglądasz. A więc miałaś osiemnaście lat, kiedy zaszłaś w ciążę.

- Trochę mi brakowało do osiemnastki.

- O czym ten chłopak myślał? - obruszył się Mitch.

- Teraz wiem, że tylko o zabawie. Wiosenna przerwa to pora szaleństw w Fort Lauderdale.

- Jak się poznaliście?

Ginny zastanawiała się, po co te wszystkie pytania. Czy on też nie lubi ciszy?

- Dorabiałam jako kelnerka. Byłam w ostatniej klasie liceum i chciałam mieć piękną sukienkę na ceremonię rozdania świadectw.

- Rodzice nie mogli pomóc? A przynajmniej ostrzec przed takimi chłoptasiami?

- Rodzice zmarli, kiedy miałam osiem lat. Mieszkałam z ciocią Edith, która bez przerwy mnie ostrzegała. Ale myślałam, że jestem zakochana. Nigdy przedtem czegoś takiego nie czułam. No i całkowicie mu ufałam. Dopiero gdy wyjechał, zrozumiałam, że traktował mnie jak zabawkę.

- A kiedy okazało się, że jesteś w ciąży?

- Próbowałam go odnaleźć, ale bez skutku.

- Aż zobaczyłaś ten artykuł.

- Wciąż jednak nie znalazłam mojego Johna Mitchella Holdena. W niczym pan go nie przypomina. Inaczej pan wygląda, jest pan starszy.

I o niebo dojrzałszy. Miał też prezencję, której inni mężczyźni mogli mu jedynie pozazdrościć. Kobiety na pewno lgnęły do niego. To dobrze, że była uodporniona na jego wdzięki. Nie da się po raz drugi nabrać na bajeczkę o romansie, który kończy się szczęśliwie.

- Dlaczego nie wynajęłaś prywatnego detektywa?

- Skąd miałam na to wziąć pieniądze? - Zerknęła na Joeya i dodała tak cicho, by tylko Mitch mógł usłyszeć: - Wahałam się, czy urodzić, ale wybrałam jedyne możliwe dla mnie wyjście. Bardzo mi pomogła ciocia Edith. Najpierw trochę marudziła, ale szybko pokochała mojego synka. Mówiła, że jest jej całym światem, i taka była prawda.

- Czas przeszedł?

- Dwa lata temu zginęła w wypadku. Autobus wpadł na przystanek, gdzie czekali ludzie. Bardzo mi jej brakuje...

- Nie masz więcej rodziny? Zostaliście tylko we dwoje?

- Wiem, jak to jest, gdy straci się ukochaną osobę - powiedziała cicho. - Ale życie toczy się dalej.

- Twoja ciotka zmarła, ojciec Joeya zniknął. Życie cię nie pieści.

- Mam Joeya.

Mitch zerknął na nią. Czy nadal tęskniła za dawnym kochankiem, mimo że tak paskudnie się zachował? Czy śni o nim po nocach i marzy na jawie, jak on śni i marzy o Marlisse?

Gdyby tak było, mieliby z Ginny wiele wspólnego. Zarazem jednak znaczyłoby to, że nie była gotowa na bliższe kontakty z innym mężczyzną. Nachmurzył się, a przecież nie powinien. Co mu do tego, że Ginny chce być samotna? Przecież nie zbierało mu się na romanse. Aha, no tak. Oczywiście nie zamierzał jej uwodzić, ale pomóc, zaopiekować się, i owszem. Podziwiał ją, imponowała mu, dlatego chciał ulżyć jej ciężkiemu losowi. Tak wiele przeszła, a jednak była zadowolona z życia i dążyła w przyszłość z podziwu godną odwagą. Była przy tym bardzo dumna i samodzielna. Nikogo o nic nie prosiła, wszystko brała na swe wątle barki.

Pomocy oczekiwała jedynie od ojca Joeya, co tłumaczyło się samo przez się. Wciąż miała nadzieję, że go odnajdzie. Mitch pomyślał, że mógłby wynająć prywatnych detektywów, na których jej nie stać.

Czuł, że narastają w nim instynkty opiekuńcze, i nie był z tego zadowolony. Nic nie był winien Ginny ani jej synowi. Powinien zachować dystans, zanim bardziej się zaangażuje. Widział, że popycha go kompleks winy. Co z tego, że na zdrowy rozum biorąc, w żaden sposób nie mógł zapobiec tamtemu wypadkowi? Liczyło się tylko to, że nie zdołał uchronić żony i córki.

Tak, pomoże Ginny i Joeyowi, ale bez zaangażowania emocjonalnego.

Podjechali pod budynek, w którym mieścił się gabinet lekarski.

- Będę o czwartej. Gdyby badanie skończyło się wcześniej, zadzwoń do mnie. - Mitch wręczył Ginny wizytówkę.

- Dzięki.

Przemógł się, by nie pójść z nimi. Ma pracę i nie powinien poświęcać im tyle czasu.

O czwartej wyszli na gorący chodnik.

- Jest Mitch! - Joey wskazał zaparkowany przy chodniku samochód.

- Powinieneś mówić o nim pan Holden. - Ruszyli do auta.

- Ciocia Emaline mówi do niego Mitch. Ty też, słyszałem.

- Dopóki nie poprosi cię, żebyś zwracał się do niego po imieniu, powinieneś używać nazwiska. - Wsiedli do samochodu. Ginny była lekko roztrzęsiona. Z ulgą opadła na miękki fotel.

- Jak poszło? - spytał Mitch.

- Chcą operować już w piątek - powiedziała rozgorączkowana. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wypiszą Joeya w poniedziałek. Przez kilka tygodni będzie nosił opatrunek, żadnego biegania, całkowity spokój. To wszystko dzieje się tak szybko. - Spojrzała na Mitcha. - Dziękuję. Dla pana tak się starają.

- Raczej dla Jeda. Prosiłem go, by pilotował sprawę.

- A on robi to dla pana. Nie wiem, jak dziękować. - Była bardzo wzruszona.

Ruszyli w drogę.

- Nie ma za co. Jako jedyna nie uciekłaś z biura po wyjeździe Helen. Dzięki tobie mogę normalnie pracować.

Dla niej był to wspaniały dar, dla Mitcha zaś umowa coś za coś.

Dlaczego jednak nie wziął sobie którejś z wykwalifikowanych pracownic z biura w Dallas?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mitch znów przelotnie spojrział w jej lśniące oczy. Zachwycony urodą i wdziękiem Ginny, po raz pierwszy od dwóch lat na chwilę zapomniał o przeszłości. Zaraz jednak spochmurniał. Nie da się omamić iluzji szczęścia. Życie potrafi w jednej sekundzie zrzucić człowieka z raju w czeluści cierpienia...

- Wprost nie mogę uwierzyć, że poszło tak szybko - entuzjasmowała się Ginny. - Joey przez kilka tygodni będzie musiał powstrzymać swój temperament, ale potem stanie się jak my wszyscy.

- To dobrze - powiedział Mitch. Pomyślał o Daisy. Z jaką radością pokazałaby chłopcu swoje pieski, kotki i kucyka. Była taka otwarta na ludzi.

- Pańska pomoc finansowa jest wprost nieoceniona. Zwrócę wszystko co do centa.

- Zwrócisz mi swoją pracą. Więcej nie mówmy o pieniądzach. - W lusterku zobaczył Joeya, który usnął w foteliku. Jak ojciec tak cudownego chłopczyka mógł o nim nie wiedzieć? Może pomysł z detektywami nie jest wcale taki zły?

Mitch znów zaczął się zastanawiać, kto mógł się pod niego podszyć. Ze słów Ginny wynikało, że dobrze znał i jego, i ranczo, miał teraz ze dwadzieścia pięć lat i był blondynem. Jednak Mitch nie potrafił nikogo dopasować do tych informacji.

- Powiedz mi coś więcej o ojcu Joeya. Wciąż zastanawiam się, kto podszył się pode mnie.

- Właściwie wszystko już wiesz. Wysoki, ze sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, dobrze zbudowany blondyn, wesoły, zabawny. Świetnie pływał, uwielbiał surfować. Prawie zawsze nosił ciemne okulary, nawet kiedy nie było takiej potrzeby. Wtedy nie zastanawiałam się nad tym, ale

potem pomyślałam, że robił tak, by ukryć swe oczy, choć nie wiem po co.

- Jakiego koloru?

- Niebieskie, jak u Joeeya.

- Wesoły i zabawny... Co jeszcze?

- Roztaczał wokół siebie aurę niezwykłości, jakby był kimś nadzwyczajnym. Miał bardzo wysokie mniemanie o sobie, i ja temu uległam. Otrząsnęłam się dopiero wtedy, gdy wyjechał.

- Co robiłaś potem? - Takie odpytywanie obcych ludzi było zupełnie nie w jego stylu, a jednak nie potrafił się powstrzymać. Ginny intrygowała go z wielu względów, między innymi ciekawiło go, jak ktoś, kto od życia dostał tak surową lekcję, potrafił zachować tyle pogody ducha i optymizmu.

- Skończyłam liceum, zanim zorientowałam się, że jestem w ciąży. Musiałam zrezygnować ze studiów, dorabiałam jako kelnerka, a po śmierci cioci Edith zatrudniłam się w restauracji na pełny etat

- A co chciałaś studiować?

- To było tak dawno... - mruknęła z zażenowaniem.

Rozumiał ją. Zrezygnowała z kariery dla syna i nie żałowała tego, lecz będąc kelnerką, wstydziła się mówić, kim przed laty pragnęła zostać.

- Naprawdę mnie to ciekawi.

- Myślałam o architekturze.

Zdumiał się. To były jedne z najtrudniejszych studiów, łączące wiedzę inżynierską ze sztuką.

- Centra handlowe i biurowce?

- Zawsze mieszkałam w okropnych blokach, więc chciałam projektować domy przyjazne ludziom. Magiczne rodzinne siedziby.

- Na to stać tylko bogatych.

- Nieprawda. Można tanim kosztem wybudować urokliwe, pełne ciepła domki. Nie chodzi o złocone klamki, tylko o...

- Magiczne miejsce - mruknął ni to sceptycznie, ni to ze zrozumieniem.

- Właśnie. - Zapalała się coraz bardziej, - Historia architektury dostarcza nieskończonej liczby wzorów, a jeśli do tego dodamy własne marzenia, powstaje coś niepowtarzalnego i tylko naszego. Jako architekt chciałam rozbudzać i zaspokajać ludzkie marzenia. Zapewniam, że da się to osiągnąć skromnymi środkami.

- Rozumiem... Ale przecież nic straconego. Mogłabyś jeszcze zapisać się na studia.

- Może kiedy Joey trochę się usamodzielni. Na razie to nierealne.

Ile może zarabiać kelnerka? - pomyślał. Musiało być jej ciężko, lecz się nie uskarżała ani nie próbowała go nakłonić, by finansowo pomógł jej ustawić się w życiu, choć takie rozwiązanie mniej dumnym kobietom samo by się nasunęło.

Wspólna kolacja minęła w lepszej atmosferze niż poprzednia. Mitch wprawdzie próbował się zdystansować od reszty stołowników, lecz Ginny zbyt mocno go intrygowała. Podekscytowana przekazała Emaline radosną wieść o piątkowej operacji, przekomarzała się Joeyem, emanowało z niej ciepło i miłość do synka.

Chciał dotknąć jej miękkich włosów, pocałować kuszące usta. Może wtedy zdołałby zapomnieć o przeszłości i otworzyć się na coś nowego...

- Pojadę z tobą w piątek do szpitala - zaoferowała się Emaline.

- Nie musisz. Powinniśmy tam być o szóstej rano, więc trzeba będzie wstać o szarym świcie - odparła Ginny.

- Na pewno będzie ci raźniej w towarzystwie, a ja nie jestem taka stara, bym nie mogła raz wcześniej wstać.

- Dziękuję, to miło z twojej strony.

- Jedziesz z nami? - Emaline zerknęła na Mitcha. Ku rozczarowaniu Joeya, pokręcił głową.

- Niestety nie. Jutro i w piątek będziemy przepędzać stado.

- Poradzą sobie bez ciebie - upierała się Emaline. - Powinieneś być z nami.

Mitch nienawidził szpitali. Tam właśnie usłyszał najstraszniejszą wiadomość w życiu. Zresztą Ginny nie potrzebowała go. Gdyby operacja odbyła się na Florydzie, poradziłaby sobie sama.

Ta myśl wcale mu się nie spodobała.

- Damy sobie radę - powiedziała stanowczo Ginny.

- Wystarczy, że mnie nie będzie w pracy, nie mogę jeszcze odciągać szefa od zajęć. Wyjedziemy o świcie, a śniadanie zjemy w Dallas.

Mitch ujrzał oczyma wyobraźni, jak w porannej szarówce jej stary grat rozkracza się na autostradzie i uderza w niego inne auto.

- Weź mój wóz.

- Słucham?

- Na pewno nie nawali.

- Moje auto jest w doskonałym stanie - obruszyła się Ginny.

Mitch uznał, że jeszcze ma trochę czasu, by przekonać ją do swojego pomysłu. Za nic nie dopuści, by tym swoim rupieciem pojechała do Dallas.

Po kolacji Ginny, wspomagając się książeczką przeznaczoną dla dzieci, którą dostała od lekarza, omówiła z Joeyem wszystkie sprawy związane z operacją. Gdy chciała już położyć synka spać, do pokoju wszedł Mitch.

- Hej, panie Holden! - wesoło zawołał Joey. - Pan też przyszedł mnie opatulić?

Mitch natychmiast przypomniał sobie rytuał układania do snu Daisy. Zwykle razem z Marlisse przychodzili wieczorem do pokoju córki, czytali jej książeczki, komentowali wydarzenia dnia i przykrywali ją kołderką.

Joey uśmiechnął się do Mitcha z nadzieją.

- Przyszedłem porozmawiać z twoją mamą - burknął.

- Och... - Rozczarowanie Joeya było wręcz namacalne.

- Ale skoro pan Holden tu jest, pomoże mi cię opatulić, prawda? - Ginny błagalnie spojrzała na szefa.

Mitch podszedł do łóżka.

- Dobranoc, Joey.

- Musisz mnie okryć. Mitch owinał go kołdrą.

- Słodkich snów. - Cofnął się o krok. Ginny pocałowała i przytuliła synka.

- Jutro opowiesz panu Parlance'owi o operacji.

- I o lodach, które dostanę, jak będę grzeczny.

- Oczywiście. Kocham cię, Joey. - Pocałowała go raz jeszcze.

- Dobranoc, mamó. Dobranoc, panie Holden.

- Mów mi Mitch.

Gdy zamknęli za sobą drzwi, Ginny spytała:

- Czemu chciał się pan ze mną widzieć? - Był zbyt blisko, czuła, jak owiewa ją jego ciepło. Cofnęła się o krok. Do czego zmierzał? Nie pocałował jej ubiegłej nocy i dziś pewnie też tego nie uczyni.

- Chciałem porozmawiać o pracy. Przejdźmy może na werandę, tam jest przyjemniej.

Czyli tam, gdzie prawie ją pocałował... Ginny czuła się zarazem dziwnie zmieszana i podekscytowana, choć nie miało to żadnego sensu. Przed laty przekonała się, że nie można mylić miłości z urokliwymi chwilami i odbierającą rozum

żądzą. Za tę naukę zapłaciła wysoką cenę i teraz oczekiwała od życia dużo więcej - lub wolała pozostać sama. A tu była przecież tylko na jakiś czas i nim się obejrzy, Mitch będzie jedynie wspomnieniem. Musi więc zachować rozważny dystans, by znów nie popełnić błędu.

Przeszli na werandę i usiedli w fotelach.

- Wyruszam jutro ze stadem. Gdyby dzwonił Stevenson, skieruj go do Hanka w biurze w Dallas. Nie spodziewam się większych problemów, ale na wszelki wypadek wezmę komórkę. Dzwon tylko w nagłych przypadkach.

- Pozostałych mam informować, że będziesz uchwytny dopiero w poniedziałek? - Nawet nie zauważyła, że zaczęła mówić mu per ty. Jednak w tej scenerii stało się to w sposób całkiem naturalny.

- Wrócę przed nocą i w razie czego zdążę zadzwonić do Los Angeles, ale nie myślę, by było to potrzebne. Radź sobie sama. Wieczorem włącz sekretarkę, żeby rejestrowała piątkowe połączenia.

- Mam rozmawiać z ludźmi? Nawet nie wiem, czym się zajmujesz.

- Przecież nie będziesz podejmować żadnych decyzji biznesowych. Sama się zorientujesz, czy możesz komuś udzielić jakiejś informacji, czy też potrzebny będzie kontakt ze mną. Jesteś dużo bystrzejsza od tych dwóch pańienek z agencji.

Bardzo ucieszyła ją ta pochwała. Próbowała sobie radzić w tym obcym świecie, ale to, co musiała robić, nie miało nic wspólnego z kelnerskim fachem.

- Co do piątku...

- Mój samochód jest sprawny - szybko weszła mu w słowo.

- Ale w moim będzie wygodniej cioci Emaline.

Był pewien, że sposób „na staruszkę” okaże się niezawodny, i nie pomylił się.

- Nie pomyślałam o tym - mruknęła Ginny.

- Właśnie. No to sprawa załatwiona. Niestety nie mogę wysłać z tobą żadnego z pracowników, bo są potrzebni przy bydle. Kiedy wrócicie?

- Trudno powiedzieć. Ruszymy w drogę dopiero wtedy, gdy Joey zaśnie. Boję się, czy Emaline wytrzyma tak długo. To będzie trudny dzień. Może nie powinna z nami jechać? Gdybym była tylko z Joeyem, mogłabym zostać w Dallas i przenocować w hotelu.

- Jeśli chce jechać, nie broń jej. Wprawdzie zagada cię na śmierć, ale dzięki temu zapomnisz o kłopotach. I nie mów jej, że jest zmęczona. Bardzo tego nie lubi, poza tym naprawdę jest nie do zdarcia.

- Też wysłuchujesz jej niekończących się opowieści?

- Nie zawsze uda mi się uciec, a starszym należy się szacunek. Więc siedzę i słucham. - Uśmiechnął się lekko.

- Na pewno wspomina różne zdarzenia związane z Daisy.

- Tu się nie mówi o Daisy - rzekł z naciskiem.

- Dlaczego? Opowiadając o swojej córce, przekazywałbyś pamięć o niej innym ludziom, utrwałabyś szczęśliwe chwile.

- Wspomnienia bywają bolesne - odparł wolno Mitch.

- Kiedy umarła ciocia Edith, bardzo cierpiałam. Wychowywała mnie po śmierci rodziców, potem była ukochaną babcią dla mojego synka. A teraz opowiadam Joeyowi miłe i wesołe historyjki o niej, i razem zaśmiewamy się do łez. Dzięki temu ciocia Edith wciąż odżywa w naszej pamięci. Jakby nie umarła do końca... - Spontanicznie wzięła Mitcha za rękę. - Opowiedz mi o Daisy.

Zacisnął palce na jej dłoni.

- Kiedy miała trzy lata, po raz pierwszy wzięłam ją na siodło - zaczął po dłuższej chwili. - Pojechaliśmy do rzeki i z

powrotem. Trzymała wodze i była przekonana, że powoduje koniem. Śmiała się i popędzała kasztanka. Wiatr rzucał mi jej włosy w twarz. Pięknie jej było z długimi włosami, dlatego Marlisse, wbrew dziecięcej modzie, nie pozwalała ich obciąć. Daisy była bardzo szczęśliwa, że wraz z tatą jedzie na koniu.

Ginny wręcz czuła radość tamtego dnia. Słowa Mitcha przepełnione były miłością. Nagle przemknęło jej przez myśl, jak by to było cudownie, gdyby Joey miał takiego ojca.

- Miała jasne czy ciemne włoski? Jaki miała temperament? Była żywiołowa czy raczej refleksyjna? - Gdy milczał, dodała cicho: - Mitch, wiem, że Daisy nie żyje, ale dzięki tobie mogłabym ją poznać.

- Daisy kochała wszystkie zwierzaki. Karmiła bezdomne psy i koty, a kiedy dostała kucyka, wspaniale się nim opiekowała. .. - Najpierw mówił z trudem, lecz potem się przełamał. Przez dwie godziny opowiadał o córeczce, co i rusz wspominał też o Marlisse.

Ginny zrozumiała, jak bardzo byli ze sobą szczęśliwi. Dlaczego tak wspaniała rodzina musiała przestać istnieć?

Gdy umilkł, uświadomiła sobie, że wciąż trzyma go za rękę. Mitch stał się jej nagle bardzo bliski. Spojrzała w rozgwieżdżone niebo, odetchnęła rześkim nocnym powietrzem. Ginny nie chciała burzyć nastroju chwili, lecz czuła, że powinna już odejść.

Mitch też uznał, że nie należy przedłużać tej niezwyklej rozmowy.

- Jestem bardzo zmęczony, a ruszamy o brzasku. Muszę się położyć.

- Mitch, dziękuję, że opowiedziałeś mi o Daisy - powiedziała cicho.

Delikatnie ujął ją za ramiona.

- To ja dziękuję, Ginny. Nie rozmawiałem o mojej córce od jej śmierci, a teraz przypomniałem sobie te wszystkie dobre i piękne chwile.

- Dopóki żyła, dzięki tobie i Marlisse była szczęśliwa. Usłyszałam o mądrej, wesołej dziewczynce z czułym serduszkim. To straszne, że już jej nie ma, ale masz po niej wspaniałe wspomnienia.

- Zwróciłaś mi je. Staralem się je wyprzeć z siebie, by mniej cierpieć, ale to zła droga. Masz rację, dzięki wspomnieniom ci, którzy zmarli, jakby zmarli nie całkiem. Dziękuję. - Przyciągnął ją i pocałował.

Ginny zupełnie się tego nie spodziewała, ale po pierwszym szoku poczuła w sobie płomień. Objęła Mitcha za szyję i odwzajemniała pieszczotę. To była upojna chwila.

Wreszcie pocałunek się skończył i Mitch cofnął się nieco. Ginny była rozczarowana... a zaraz potem zażenowana. Przecież to był jej szef i dobroczyńca. Jest mu wdzięczna, odplaci mu za jego pomoc pracą - i to wszystko. Po raz drugi nie da się nabrać na męski urok. Zapomni o tym pocałunku, wyciszy emocje. Nie da się zwieść seksualnym zachciankom, bo już kiedyś zapłaciła za to wysoką cenę.

- Dobrze zadbam jutro o biuro. - Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do swojego pokoju.

Ginny odbierała telefony i faksy, notowała, co należało zanotować, wkładała do segregatorów, co należało włożyć. Była dumna, że Mitch pozwolił jej działać samodzielnie. Nie była zawodową sekretarką, lecz starała się ze wszystkich sił.

Joey wpadł do niej przed lunchem, więc pozwoliła, by do przerwy bawił się komputerem.

Po południu musiała wreszcie przyznać, że bez Mitcha w biurze jest pusto i nudno. Nie mając nic lepszego do roboty, przejrzała kilka raportów. Nie wszystko zrozumiała, bowiem napisane były fachowym językiem, dowiedziała się jednak, że

Mitch nie tylko prowadzi rodzinne ranczo, ale również jest ważną osobą w kilku wielkich i prężnych korporacjach.

Gdy Ginny zamierzała już kończyć pracę, na dziedziniec wjechał czerwony sportowy samochód. Wsiadła z niego wysoka, szczupła, młoda kobieta i ruszyła prosto do biura. Nienaganny makijaż, ciemne włosy kaskadą opadały na ramiona, markowa bluzka i spodnie, buty z wężowej skóry... Ginny nie miała złudzeń, jak w konfrontacji wypadnie jej stara bluzka, wytarte spodnie i brak makijażu.

- Jest Mitch? - warknęła nieznajoma.

- Dziś jest niedostępny - odparła grzecznie Ginny. W restauracji nauczyła się postępować z osobami, które nie wzbudzały jej sympatii. - Przekażę Mitchowi, że pani tu była, panno...

- Gloria Devon. - Podeszła do drzwi gabinetu i zajrzała do środka, wyraźnie nie dowierzając Ginny.

Ginny przełknęła zniewagę. Być może Gloria była przyjaciółką Mitcha, i dlatego tak się panoszyła? A jednak sekretarka nie powinna pozwolić, by ktoś, o kim nie wie, że na pewno ma do tego prawo, buszował w pokoju szefa. Wstała zza biurka, gotowa stanowczo wkroczyć, gdyby Gloria weszła do gabinetu. Jednak tego nie uczyniła, tylko usiadła na krześle i uważnie przyjrzała się Ginny.

- Słyszałam od Emaline, że Mitch zatrudnił kogoś na czas nieobecności Helen. Mieszkam na sąsiednim ranczu. Mitch i ja jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. Bardzo bliskimi. Czy wiesz, kiedy wraca Helen?

Ginny poczuła ukłucie zazdrości. Wprawdzie wczorajszy pocałunek nic nie znaczył, dlaczego jednak Mitch patrzył na nią takim wzrokiem, skoro był związany z inną kobietą? Oto kolejny powód, by trzymać w ryzach swe uczucia. Nie ma co się łudzić, Mitch Holden był mężczyzną nie dla niej!

- Nie rozmawiałam z Helen i nie wiem, co powiedziała Mitchowi.

- Mitch powinien był poprosić mnie. - Spojrzała krytycznie na Ginny. - Bez trudu bym ją zastąpiła. - Uśmiechnęła się ironicznie. - Ale nie bój się, nie zamierzam wygryźć cię z posady. - W ustach córki bogatego ranczera zabrzmiało to podwójnie złośliwie. - Powiedz Mitchowi, żeby do mnie zadzwonił. Ted Sampson urządza jutro barbecue, więc moglibyśmy tam pójść razem.

- To niemożliwe - odparł od progu Mitch.

Wszedł i otrzepał zakurzony kapelusz o równie zakurzone dzinsy. Był zmordowany, brudny, jak ktoś, kto ciężko harował fizycznie przez wiele godzin. Słowem, wyglądał cudownie.

- Cześć, Mitch! - Gloria najwyraźniej zamierzała rzucić mu się w ramiona.

Cofnął się o krok.

- Co cię tu sprowadza, Glorio?

- Jak już mówiłam twojej pomocy biurowej, Ted urządza jutro barbecue. Jestem pewna, że cię zaprosi, a skoro mieszkamy po sąsiedzku, moglibyśmy wybrać się razem. Nie lubię samotnie wracać nocą do domu.. - Zalotnym spojrzeniem dodała mocy tym słowom.

Ginny nie wiedziała, czy to był wstępny szturm Glorii, czy też dalszy ciąg utrzymywanego w tajemnicy romansu. Tak czy inaczej, nie była to jej sprawa. Zastanawiała się, jak dyskretnie się wycofać.

- Czy będzie twój ojciec? - spytał Mitch. - Mam z nim do omówienia pewien interes.

- Nie, jest w El Paso. Przyjdź, Mitch. Spotkasz wszystkich sąsiadów i trochę się rozerwiesz. Tak długo żyjesz jak mnich.

Spojrzał na nią wymownie, bezgłośnie informując: „To nie twoja sprawa”.

- Z twoim ojcem spotkam się, jak wróci z El Paso, a do Teda i tak nie mógłbym iść, bo jutro jest piątek. Mam inne plany, Glorio.

- Jakie plany?

- Zawożę Ginny i jej synka do Dallas. Joey będzie miał operację i muszę przy tym być.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jeśli Ginny bardzo się zdziwiła, to co można by powiedzieć o Glorii?

- Wybierasz się z nią do szpitala? Ona ma dzieciaka, a ty się zaangażowałaś? Co z twoją przysięgą, że będziesz za wszelką cenę unikał związków i dzieci? - zasyczała gniewnie.

Nikogo jednak nie przestraszyła. Wręcz przeciwnie, bo Ginny poczuła satysfakcję, widząc jej bezsilną złość, natomiast Mitch zachował obojętny wyraz twarzy.

- Tak postanowiłem - stwierdził, by uciąć wszelką dyskusję.

Ale nie uciął.

- Do diabła, Mitch! - Gloria prawie nie panowała nad sobą. - Nic nie rozumiesz. Czekałam całe dwa lata, aż trochę odpuścisz. To się nie liczy? Wiem, że cierpiełeś, ale tamte groby już porosły trawą! - Urwała na moment, przestraszona, czy nie przeholowała. Nie zamierzała jednak się wycofywać. - Spójrz na mnie, Mitch. Uznałam, że to barbecue będzie nowym otwarciem. Początkiem nowego życia. A ty jedziesz do jakiegoś cholernego szpitala?! - zakończyła z krzykiem.

- Nie wiem, o co ci chodzi z tym czekaniem i nowym życiem. - Mitch zmrużył oczy. - To twój pomysł, nie mój, choć jak rozumiem sprawa niby ma dotyczyć mnie. - Nie zabrzmiało to zbyt delikatnie, ale Gloria sama prosiła się o ostrą ripostę. - Dziękuję za zaproszenie na barbecue, ale już ci mówiłem, że jadę z Ginny i Joeyem do Dallas. Mały będzie operowany, więc na pewno nie wrócimy w piątek. Przecież nie zostawimy czteroletniego dziecka wśród obcych ludzi.

Gloria wiedziała, kto spowodował jej klęskę. Gdy spojrzała na Ginny, we wzroku miała mord.

Ginny przez chwilę była kompletnie zdezorientowana, zaraz jednak wszystko ułożyła sobie w głowie. Mitch chciał spławić Glorię, więc posłużył się sekretarką. Wprawdzie

wykraczało to poza obowiązki służbowe, ale nie zamierzała kruszyć o to kopii.

A jeśli Mitch mówił poważnie? Jeśli zależało mu na mej i dlatego postanowił jechać z nią do Dallas? Ginny znów była dezorientowana.

- Zadzwoń, kiedy znudzi ci się rola pielęgniarki - warknęła Gloria i jak burza wypadła z biura, na pożegnanie trzaskając drzwiami. Po chwili ruszyła z przeraźliwym piskiem opon.

- Sąsiadka z charakterkiem - mruknął Mitch. Ginny miała na końcu języka dużo ostrzejsze określenia, ale zachowała je dla siebie.

- Nie spodziewałam się dziś pana.

- Wczoraj mówiłaś mi po imieniu i niech tak zostanie. Przyjechałem, bo mój koń zgubił podkowę, a nie mieliśmy zapasowej. Wydarzyło się coś ważnego?

- Dwa telefony przełączyłam do biura w Dallas, reszta, jak mi powiedziano, może poczekać do poniedziałku.

Przyszły trzy faksy, w tym bardzo długi od Hanka. - Dłużej nie mogła pohamować ciekawości. - Czy naprawdę chcesz jechać z nami do Dallas, czy to tylko wykręt na użytek Glorii?

- Naprawdę. Muszę się umyć przed kolacją. - Szybko wyszedł z biura.

Emaline była równie zdumiona jak Ginny, gdy dowiedziała się, że Mitch zmienił plany; Obserwowała siostrzeńca podczas kolacji, usiłując odgadnąć, co mu chodzi po głowie. Była pewna jednego. Po raz pierwszy od dwóch lat Mitch zainteresował się czymś, co nie miało związku z pracą.

Ginny i Joeyem.

Po kolacji Mitch oznajmił:

- Muszę jeszcze wpaść do biura, a wy się zaraz kładźcie, bo wstajemy przed świtem.

Ruszyli w drogę, gdy na niebie jeszcze królowały gwiazdy. Ginny była bardzo zdenerwowana, bo operacja miała się odbyć już za kilka godzin. A zarazem czuła wielką radość, a jej wdzięczność wobec Mitcha wprost nie znała granic. Mimo pozornego chłodu, zrobił dla jej syna więcej niż ktokolwiek inny. Jak zdoła mu się odwdziżyć? Jaka szkoda, że Joey nie ma takiego ojca...

Ani Mitch, ani Ginny nie byli w nastroju do rozmowy, za to Emaline tokowała jak najęta aż do samego Dallas. Rzeczywiście, mimo swego wieku, miała niespożyte siły.

W szpitalu już czekano na Joeya. Zaraz został zabrany na salę operacyjną, a roztrzęsiona Ginny miała przed sobą cztery potwornie długie godziny oczekiwania. Modliła się, by wszystko poszło jak należy, i co chwilę patrzyła na zegarek.

- Nic tu po nas, chodźmy na śniadanie. Niedaleko stąd jest bar, gdzie dobrze karmią - powiedział wreszcie Mitch. Świetnie rozumiał, co przeżywa Ginny, do tego sam nie znosił szpitali.

- Muszę tu czekać. Poza tym w tej chwili nie zdołam niczego przełknąć.

- A powinnaś, bo jesteś za chuda. - Nic innego nie zdołał wymyślić, by postawić na swoim.

- On ma rację, kochanie - wtrąciła Emaline. - Oczywiście nie z tym, że musisz przytyć, bo wyglądasz świetnie, ale nie ma sensu sterczeć w tej poczekalni i gapić się na zegarek.

Ginny próbowała się opierać, wreszcie w drodze kompromisu zeszli do szpitalnej stołówki. Ginny zamówiła omlet, Mitch jajecznicę, a Emaline płatki zbożowe.

- Mitch, dlaczego zmieniłeś zdanie i przyjechałeś z nami? - spytała Ginny. - Czy to ma jakiś związek z Gloria?

- Z Gloria nic nie ma związku. - Nie zdołał powstrzymać się od kąśliwej uwagi. - Kiedy wracałem ze spędu, wyobraziłem sobie Marlisse w takiej jak ty sytuacji. Też by

sobie sama poradziła, ale byłoby lepiej, gdyby ktoś jej pomógł, choćby samą obecnością. - Spojrzał prosto w oczy Ginny. - Nie wiem, kto pięć lat temu podszył się pode mnie, ale w jakiś sposób złączył nas ze sobą. - Przerwał na chwilę. Takie wyznania przychodziły mu z trudem. - Nie zobaczę, jak Daisy dorasta. - Głos mu lekko zadrżał. - Nie będę na jej ślubie, nie przytulę wnuków. - Westchnął cicho. - Tak bardzo lubiłem dzieci. Nadal je lubię. Marlisse i Daisy, jeśli mnie widzą, na pewno chcą, bym pomógł Joeyowi I ja tego chcę. To wszystko.

- Gdy przyjechałam do ciebie, nie wyrzuciłeś mnie za drzwi, nie wyzwaleś od oszustek, choć tak postąpiłaby większość ludzi. A teraz, dzięki tobie, Joey stanie się taki jak inne dzieci. Jesteś... - Nie wiedziała, jakiego użyć słowa. - Jesteś bardzo miły.

Rozejrzał się wokół, pochylił ku niej i szepnął konspiracyjnie.

- Wiem, że jestem miły, ale to tajemnica. Broń Boże mnie nie zdradź! Mam w tym mieście wyrobioną reputację, na którą ciężko pracowałem, i nie chciałbym jej stracić.

Ginny się roześmiała, co było jego celem. Spojrzał jej w oczy. Przez chwilę chciała schronić się w ramionach Mitcha, poczuć smak jego ust.

Intensywność tych pragnień przeraziła ją. Od dawna Uczyła tylko na siebie i tak powinno pozostać. Musi być silna dla swojego syna. Mają tylko siebie, a wokół świat, który często bywa nieprzyjazny. Chwile spędzone z Mitchem były cudowne, lecz zaraz się skończą. Powrót na Florydę jest nieuchronny. Pozostaną wspomnienia i niespłacony dług wdzięczności.

Po godzinie wrócili do poczekalni. Mitch zawahał się w progu, potem spojrzał na Ginny.

- Wybacz, ale nie mogę tu zostać. Emaline będzie ci towarzyszyła. Pojadę do pracy. - Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. - Naciśnij tu, potem tu, i dodzwonisz się do Mojego biura. Daj mi znać, kiedy operacja się skończy.

- Dobrze. - Ginny była rozczarowana, ale nie pokazała tego po sobie.

Kiedy Mitch wyszedł, Emaline powiedziała:

- Musisz go zrozumieć. Kiedy Marlisse i Daisy zginęły, wezwano go do szpitala, by zidentyfikował ciała. Od tej pory unika takich miejsc. Dziś wszedł do szpitala po raz pierwszy od dwóch lat, ale widziałam, jak dużo go to kosztowało.

- Tak... - To, że tu przyjechał i wytrwał godzinę, było czymś szczególnym. Ginny już nie żałowała, iż nie został dłużej.

Reszta godzin minęła jak w malignie. Ginny rozmawiała z Emaline, wertowała czasopisma, wyglądała przez okno i usiłowała nie patrzeć na zegarek.

Wreszcie przyszedł chirurg i oznajmił, że operacja się powiodła. Ginny poszła na salę pooperacyjną i czekała, aż Joey wybudzi się z narkozy. Miał zabandażowane lewe oko i był taki malutki w wielkim łóżku.

Zadzwoiła do Mitcha. Odebrał natychmiast.

- No i jak, Ginny?

- Joey jest już po operacji. Lekarz powiedział, że... - Rozpłakała się.

- Ginny?

- Mitch... - Nie potrafiła powstrzymać szlochu.

- Ginny, powiedz wreszcie. - Starał się nie okazać zdenerwowania.

- Mitch, wszystko... wszystko w porządku - wydukała między jednym chlipnięciem a drugim. Była zła, że tak się zbłąźniła.

- Przyjeżdżam natychmiast.

Rozłączył się, zanim zdążyła zaprotestować. Pielęgniarka przytuliła zapłakaną Ginny.

- Wiem, ile to panią kosztowało, ale już po wszystkim. - Podała jej chusteczkę. - Zabieg udał się znakomicie. Nic dziwnego, bo doktor Tamsin jest świetnym chirurgiem. Joey wybudzi się za chwilę, ale zaraz znów zaśnie. Będzie miała pani czas pójść na herbatę.

- Zaczekam tutaj. Przepraszam, że przeszkadzam.

- Nic podobnego. Szczęśliwy chłopiec, że ma taką troskliwą mamę. - Pielęgniarka sprawdziła stan Joeya i poszła do następnego pacjenta.

Ginny spojrzała na śpiącego synka. Wszystko będzie dobrze, oczy będzie miał zdrowe jak inni. Poczowała ogromną ulgę.

Po dziesięciu minutach do sali wszedł Mitch. Pochylił się nad Ginny i spytał:

- Dobrze się czujesz? Z Joeyem wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedziała przez ściśnięte gardło.

- Są korki, szybciej nie mogłem przyjechać. - Spojrzał na Joeya, potem na nią. - Skoro wszystko w porządku, skąd te łzy?

- Beczę, bo jestem szczęśliwa. Operacja udała się znakomicie. - Hakata również z powodu Mitcha. Zjawił się tu, bo uznał, że jest jej potrzebny. Zawsze musiała radzić sobie sama, a teraz... a teraz podniósł ją i objął. Ginny nigdy nie czuła się taka bezpieczna. Przytuliła się do niego, wsłuchując w bicie jego serca. Czuła, że życie trwa i że wszystko będzie dobrze.

Tyle dał jej ten uścisk.

I nagle się cofnęła. Nie może pozwolić, by szef ją przytulał. No i za bardzo jej się to podobało. Powinna zachować dystans. Za nic nie chciała, by Mitch pomyślał, że spodziewa się czegoś więcej. Niedługo ona i Joey wyruszą na

Florydę... Ta myśl, choć przygnębiająca, pozwoliła jej opanować emocje.

- Dziękuję, że przyjechałeś. Jak widzisz, jestem beznadziejną płaksą, która chlipie, czy dzieje się dobrze, czy źle. Ale za to mi ulżyło!

- To dobrze. Kiedy Joey się wybudzi?

- Niedługo, ale powiedzieli mi, że będzie półprzytomny i znów zaśnie.

- W takim razie nie ma sensu, byś siedziała przy nim całą noc. Proponuję, byś tę noc spędziła w hotelu.

- Chcę tu zostać.

- On zaśnie, Ginny. Nawet nie będzie wiedział, że tu jesteś. To tylko pięć minut drogi stąd i w razie potrzeby zjawisz się błyskawicznie. Lepiej będzie, jeśli wypoczniesz, bo jutro czeka cię ciężki dzień.

Wstał, by wyjść na korytarz i porozmawiać z Emaline. Czy jadły lunch? Czy ciotka zadba o Ginny?

- Wychodzisz?

- Chciałabyś, żebym został?

- Nie, wszystko w porządku - powiedziała z wahaniem. - Nie masz tu nic do roboty.

Poza wspieraniem Ginny... Poza chronieniem jej przed złem tego świata.

Ta myśl wstrząsnęła nim. Nie powinien wzbudzać w sobie takich uczuć. Ginny radziła sobie do tej pory bez jego pomocy. Da sobie radę i teraz.

Zbyttno się w to wszystko zaangażował. Strata Marlisse i Daisy uświadomiły mu, że w życiu nie ma nic pewnego. Nie chciał ponownie ryzykować.

- Zajrzę do ciotki Emaline i wracam do biura. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć.

- Dzięki, że przyszedłeś. Przepraszam, że oderwałam cię od pracy.

GINNY patrzyła, jak MITCH wychodził z sali. Był taki rosły i męski. Jedna z pielęgniarek ustąpiła mu z drogi, potem patrzyła w ślad za nim. Nie spojrział w żadną stronę. Pewnie nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie ze szpitala.

Zrobiło się jej ciepło pod sercem, bo jednak przyszedł. Uznał, że jest jej potrzebny i zjawił się w okamgnieniu.

Jakże różnił się od mężczyzny, o którym myślała kiedyś, że go kocha. Zniknął, pozostały po nim tylko kłamstwa. Zdaniem cioci Edith była łatwowierna. Teraz zmądrzała... choć nieraz żałowała tej mądrości.

Mitch nigdy nie kłamał, wszystko przy nim było jasne i oczywiste. Pomógł JOEYOWI, bo już nic nie mógł zrobić dla swej córeczki. Ale to wszystko. Niewiele łączyło go z GINNY, choćby tego bardzo chciała.

Kiedy JOEYA przewieziono na pediatrię, EMALINE zaczęła nalegać, by GINNY zrobiła sobie przerwę, zamiast wpatrywać się w śpiącego synka. Wreszcie uległa i poszła na krótki spacer wokół szpitala. Świeże powietrze dobrze jej zrobiło, jednak szybko wróciła, bo chciała być przy JOEYU, kiedy odzyska świadomość.

Wreszcie chłopiec obudził się, zjadł lekki posiłek i znów zasnął. Ponieważ pielęgniarka zapewniła, że obudzi się dopiero rano, GINNY wreszcie zgodziła się opuścić szpital. Dopiero w hotelu GINNY poczuła, jak bardzo jest wyczerpana i roztrzęsiona. Gdy wjechały windą i weszły do apartamentu, EMALINE najpierw kiwnęła na powitanie MITCHOWI, który rozmawiał przez telefon, a potem powiedziała do GINNY:

- Poprosimy, by nam przynieśli tu kolację. Na pewno nie chcesz schodzić do restauracji, ja też jestem zmęczona. Wstałyśmy o świcie, cały dzień poza domem. Nawet nie miałam gdzie i kiedy się zdrzemnąć.

- Och, Emaline, nie powinnam była cię trzymać przy sobie tyle czasu. Wybacz, ale cały czas myślałam o Joeyu.

- To oczywiste. Też go kocham. Musiałam być blisko na wszelki wypadek. Taka straż przyboczna. - Roześmiała się. - Szczęśliwie wszystko poszło gładko. Podczas rekonwalescencji zajmiemy się z Rositą twoim synkiem. Ponieważ przez sześć tygodni ma być jak trusia, żadnego biegania i innych szaleństw, co dla tak żywego dziecka będzie bardzo trudne, Rosita udała się na konsultacje do swoich wnuków. Mamy karty, gry planszowe i wideo, na każdy dzień coś nowego. Ale to niespodzianka, więc ani mru-mru!

- Joey będzie zachwycony. Dziękuję. - Ginny uściskała Emaline. Co zrobiłaby bez tych serdecznych ludzi? Było to tak fantastyczne, że prawie nierealne.

Mitch wyłączył telefon i wstał.

- Witam. Dobrze, że już jesteście. Proponuję zamówić kolację do pokoju. Co wy na to?

- Tak będzie najlepiej - odparła Emaline.

Obsługa szybko się uwinęła i wkrótce w salonie, przed wielkim oknem z bajecznym widokiem na pogrążone w nocnym mroku Dallas, we trójkę zasiedli do posiłku. Emaline, gdy tylko skończyła jeść, stwierdziła, że pada z nóg i poszła do łóżka.

- Ginny, zostaniesz chwilę, czy jesteś zbyt zmęczona? - zapytał Mitch.

- Jeszcze nie ochłonęłam po dzisiejszym dniu. Wciąż trudno mi uwierzyć, że operacja, na którą oszczędzałam tak długo, wreszcie się odbyła. Wprawdzie Joeya czeka seria zabiegów, ale doktor powiedział, że za kilka miesięcy oczy będą normalne. Zawdzięczamy to tobie.

- Poradziłabyś sobie sama, tylko że trwałoby to dłużej.

- Oczywiście zwrócę ci pieniądze, ale to za mało. Pragnę ci się jakoś zrewanżować. Nie masz pojęcia, jak jestem ci wdzięczna.

- Nie chodzi mi o wdzięczność - burknął.

Ginny rozumiała go. Po śmierci Marlisse i Daisy jakaś jego część również umarła. Odrzucił to, co tak ważne w życiu, czyli bliskie związki z innymi ludźmi, bo tak było bezpieczniej. Dlatego nie chciał jej wdzięczności, bo było to zbyt osobiste. Tyle tylko, że taka postawa świadczyła nie o sile, ale o słabości. Tragedia złamała Mitcha i do tej pory się nie podniósł. Poruszał się po wyznaczonych ścieżkach, całkowicie oddał się pracy. To była ucieczka wynikająca z obsesyjnego lęku przed nowym bólem. Ucieczka przed życiem.

Jednak Ginny, która też wiele w życiu przeszła, nie dała się złamać, choć była tego bliska. Teraz zapragnęła pokazać Mitchowi, że życie ma mu jeszcze wiele do zaoferowania.

Mitch zerknął na Ginny. Zobaczył rumieńce i jej wzrok. Szybko opuściła oczy, przestraszona tym, co ujrzała w jego spojrzeniu.

Wiedział, że wystraszyła się jego pożądaniami. Kiedy powiedziała, że jest mu wdzięczna, rozzłościł się. Nie tego pragnął. Chciał pocałunków i pieszczot, chciał poczuć słodycz jej ust, chciał kochać się z nią jak szaleniec.

Po śmierci Marlisse nie pragnął żadnej kobiety. A teraz pragnął Ginny.

Zerwał się z krzesła, podszedł do okna i zapatrzył się w noc. A tak naprawdę w siebie. Nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Pożądał innej kobiety niż Marlisse. Co z tego, że żona nie żyła od dwóch lat? Zdrada zawsze pozostanie zdradą. Paskudnie nadużył także zaufania, jakim obdarzyła go Ginny. Skąd się w nim wzięło tyle fałszu i podłości?

Prawie podskoczył, gdy na swojej ręce poczuł dłoń Ginny. Wolno odwrócił ku niej... i pochwycił w ramiona. Gdy zetknęły się ich usta, poczucie winy zniknęło. Pozostało jedynie pożądanie. Tak silne uczucie musiało być słuszne.

Marlisse odeszła. Ginny była przy nim. Żywa, słodka i taka cudowna, że wprost tracił zmysły!

Nie broniła się, kiedy pogłębił pocałunek. Napięcie między nimi rosło, domagało się spełnienia.

Nagle Mitch przypomniał sobie, że ciotka jest za cienką ścianą. Nie mogli posunąć się dalej, nawet gdyby Ginny się zgodziła. Delikatnie odsunął się.

- Jeśli to wyraz wdzięczności, rozwalę głową mur - mruknął.

Otrząsnęła się, spojrzała na niego ostro, czujnie.

- To ty mnie pocałowałeś. Dlaczego?

- Bo cię pragnę. - Uśmiechnął się. Tak żarliwie odpowiedziała na jego pocałunek, że nie mógł się pomylić. Chciała tego samego co on.

Już raz ktoś jej pragnął. Nie kochał, tylko pragnął, choć ona była pewna, że to miłość. Wiedziała, że łatwo mogłaby zakochać się w Mitchu, a potem znów zostać sama z bólem i goryczą w sercu.

Ogarnęło ją przerażenie. Tylko nie to!

W dziwnym olśnieniu wniknął w jej myśli i uczucia. Tak bardzo chciałby zamknąć ją w uścisku, odpędzić złe wspomnienia, natchnąć nadzieją na promienną przyszłość. Lecz nie mógł jej tego zaofiarować.

- Idź spać, Ginny. Jutro będziesz miała pełno roboty z Joeyem.

Zniknęła błyskawicznie. Rozumiał ją. I wiedział, że z nich dwojga to ona była mądrzejsza.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tydzień później Ginny prawie zapomniała o pocałunku. A przynajmniej wciąż sobie to powtarzała, gdy co i rusz wspominała tamtą noc.

Opiekowała się Joeyem, wpadała do biura, by sprawdzić pocztę, odbierała telefony, bo służbowa linia została przełączona na jej pokój. Mitch cały czas był w Dallas, nie wracał nawet na noc.

Widocznie uznał, że tak jest lepiej. Cóż, uciekła od niego tamtej nocy, co można było interpretować tylko w jeden sposób, więc dał jej święty spokój. Nie wiedział, jak bardzo Ginny żałowała, że nie zachowała się inaczej, bardziej dojrzałe. Namiętnie zareagowała na pocałunek, więc Mitch na pewno pomyślał, że to tylko wstęp. A ona zrejterowała. Cóż, odezwała się zła przeszłość. Ginny była bezradna wobec tamtych wspomnień. Wymuszały na niej określone decyzje, powodowały, że wciąż była sama. I tak pewnie będzie już zawsze.

Gdy minął tydzień, znów zaczęła spędzać w biurze pełnych osiem godzin. Pisała listy i raporty, odbierała telefony i faksy związane z rozległym imperium Mitcha. Wciągnęła się w tę robotę i polubiła ją. Dobrze by było, gdyby po powrocie na Florydę znalazła posadę sekretarki.

Tuż przed czwartą usłyszała znajomy warkot silnika.

Zerwała się i podbiegła do okna. Mitch wszedł do domu, nie rzuciwszy nawet okiem w stronę biura.

Westchnęła. Cóż, jak się okazuje, tamta ucieczka była mądrym posunięciem. Mitch uległ urokowi chwili, gdy jednak do niczego nie doszło, zapomniał o całym incydencie. Gdy minęło pożądanie, nic nie pozostało.

Zamrugła i gwałtownie wciągnęła powietrze. Dlaczego ją to tak zabolalo? Przecież nie zakochała się w swoim szefie!

Ginny specjalnie przedłużyła pracę, by udowodnić sobie, że nie wrywa się do Mitcha. Wreszcie o piątej poszła do domu. Sprawdzi, co u Joeya, przebierze się do kolacji i nie będzie wypatrywać Mitcha.

Nie musiała, bo usłyszała jego głos dobiegający z pokoju synka. Drzwi były otwarte. Gdy podeszła bliżej, Joey spytał Mitcha:

- Dlaczego nie masz już swojej córeczki?

Ginny przeraziła się. Mitch mógł zwymyślać malca, nie bacząc, że mały ma zaledwie cztery lata.

Nie słyszała słów, były ciche i łagodne. Stała w progu. Emaline siedziała na fotelu bujanym przy łóżku, a Mitch przycupnął tuż obok.

- ...wypadek.

- Nie zapięła pasów? - Joey szeroko otwartym okiem wpatrywał się w Mitcha.

- Obie miały zapięte pasy, ale to nie wystarczyło, żeby je ocalić.

Emaline miała łzy w oczach. Głęboko poruszona Ginny zastanawiała się, jak doszło do tej rozmowy.

- Może ja mógłbym być twoim nowym małym chłopcem. Wtedy nie byłbyś taki samotny.

- Joey! - Ginny weszła do środka. Musiała to natychmiast przerwać.

- Cześć, mamó. Wiesz, że Mitch miał córeczkę, ale umarła?

- Wiem. To bardzo smutne. Mitch wstał i odwrócił się. Skinęła głową na przywitanie.

- Nie spodziewałam się, że dziś wrócisz.

- Zmiana planów. Jutro lecę do Los Angeles. Chcę, żebyś ze mną pojechała. - Rzeczowy głos, spokojny wzrok. Ot, szef rozmawiający z podwładną.

- Jechać z tobą? Nie mogę. Co zrobię z Joeyem?

- Emaline i Rosita zaopiekują się nim jak własnym dzieckiem. Joey, zgadzasz się, by mama na trochę wyjechała? Będę ją miał na oku, nic złego się jej nie stanie.

- Mrugnął do chłopca.

- Jasne. Z tobą może jechać - odparł po namyśle mały.

- Chyba też mam coś do powiedzenia w tej sprawie?

- fuknęła Ginny. - Jak długo to potrwa? Nigdy nie rozstawałam się z Joeyem. - Z miłością spojrzała na synka. Bandaże zostaną zdjęte w przyszłym tygodniu. Prognozy były nadzwyczajne. Wiedziała, że Emaline i Rosita uwielbiały się nim opiekować, ale...

- Najwyżej kilka dni. Nic mu nie będzie.

- Kochanie, nie martw się o Joeya. Zadbamy o niego jak o własne dziecko. - Emaline uśmiechnęła się do chłopca. - Będziemy się dobrze bawić, kiedy mama wyjedzie, co?

- A dokąd jedziesz? - Joey nagle się zaniepokoił.

- Służbowy wyjazd do Los Angeles - odparł Mitch, nie spuszczać wzroku z Ginny. - Wiesz co, Joey? Mam pomysł. Jeśli będziesz grzeczny, powiem Tomowi, żeby przyprowadził psa, z którym będziesz mógł się bawić pod nieobecność mamy.

- Codziennie?

Ginny ukryła uśmiech. Jej syn umiał się targować. Nie wiedziała tylko, co ma myśleć o tym, że zastąpi ją pies.

- Codziennie - przyrzekł Mitch.

- A jak mama wróci, a ten pies mnie polubi, i już nie będę się z nim bawić, to mu będzie smutno...

Mitch zachichotał.

- Mądry argument, Joey. Zobaczymy, czy dogadasz się z tym psem. Wtedy ustalimy co i jak.

- Dobra. Przywieźcie mi też prezent.

- Zaraz, zaraz - wtrąciła Ginny. - Nic jeszcze nie postanowiłam.

- To nagła sprawa - powiedział Mitch. - W interesach tak się zdarza. Helen zawsze miała spakowaną walizkę. Będiesz gotowa na rano?

- Zabrałam z domu tylko dżinsy i T-shirty - zmartwiła się Ginny. - Nie miałam pojęcia, że zostanę tu tak długo.

- Coś sobie kupisz w Los Angeles. Zabukowałem lot na dziewiątą rano. Zarezerwowałem apartament w hotelu "Innsbrook" przy Wiltshire Boulevard. Jeśli nam się uda, załatwimy wszystko w dwa dni.

Hotel, apartament... To brzmiało dziwnie znajomo. Co miała o tym sądzić? Później się zastanowi, bo wyczuła na sobie wzrok Emaline i Mitcha.

- Doskonale. Będę gotowa z samego rana. Mruknęła coś do Joeya i poszła do swego pokoju. Musiała jakoś ochłonać, bo wyobrażenia podpowiadała jej tak wiele...

Przed drzwiami zatrzymał ją Mitch.

- Ginny? - Podszedł bliżej. - Chyba nie boisz się jechać ze mną?

- A powinnam? - Serce jej waliło, nie potrafiła uporządkować myśli.

- Nie. W tym apartamencie są dwie sypialnie. Lubię prywatność, ty na pewno też, ale ze względu na pracę musimy być blisko siebie.

- Rozumiem. - Gdy milczał, dodała: - Do zobaczenia na kolacji.

Uciekła do pokoju. Czuła głęboki niepokój. Co z tego, że Mitch powiedział o dwóch sypialniach? W Los Angeles będą sami, nie będzie Joeya ani Emaline. Wszystko może się zdarzyć. Chyba znajdzie jakąś wymówkę i zostanie na ranczu.

Niebawem jednak wróci Helen i skończy się teksańska przygoda. Ginny miała jedyną okazję, by spędzić z Mitchem dwa dni sam na sam. Za nic z tego nie zrezygnuje, bo i dlaczego?

Mitch wpatrywał się w zamknięte drzwi, czując się jak idiota. Nie musiał brać ze sobą Ginny do Los Angeles, a już na pewno nie musiał rezerwować wspólnego apartamentu. .. ale chciał. Taka była prawda. Ginny nie była mu potrzebna w pracy, tylko...

Zaklął i poszedł do biura.

Więc po co tak nalegał, by z nim leciała? Bo chciał się nią pochwalić przed pracownikami i przyjaciółmi? Bzdura... Przecież niedługo wróci Helen i Ginny odjedzie na Florydę. Już pewnie nie może się doczekać...

Mitch zasepił się, a po chwili zaczął przeglądać stos dokumentów.

Ginny dotąd nie leciała samolotem, dlatego była mocno podekscytowana. Spodobały jej się szerokie, wygodne fotele, lniane serwetki i srebrna zastawa. Czuła się jednak skrepowana swoim ubiorem. Wypłowiałe džinsy i żółta bluzka kontrastowały z markowymi strojami biznesmenów i współpasażerów z pierwszej klasy.

- Wzięłaś coś do czytania? - zapytał Mitch.

- Nie.

- To co zamierzasz robić podczas lotu?

- Nie wiem. A co ty zazwyczaj robisz?

- Pracuję.

- No tak...

- Dzięki temu szybciej upływają mi dni.

- Rozumiem... - Spojrzała na niego. - Mitch, co takiego zdarzyło się w Los Angeles, że musisz tam jechać osobiście?

- Doszło do poważnego kryzysu personalnego, i jak to zwykle bywa, natychmiast odbiło się to na produkcji.

- A dokładniej?

- To długa opowieść. Otóż...

Ginny słuchała zafascynowana. Dotąd poznawała jedyne fragmenty działalności Mitcha, lecz teraz po raz pierwszy

miała okazję dowiedzieć się, jak dużym i skomplikowanym konsorcjum zarządzał.

- A ranczo jest tylko małą częścią tego wszystkiego.

Od pokoleń było naszym rodzinnym domem, ale nigdy nie chciałem być tylko ranczerem. Lubię spędy czy znakowanie bydła, lecz to dla mnie za mało. Nie tak jak mój ojciec, który był ranczerem z krwi i kości.

- To smutne.

- Co takiego?

- To, że ranczo tak długo należało do twojej rodziny, a ty nie masz następcy.

Zdumiał się przez chwilę.

- Mam kuzynów. Jesteśmy rodziną, wywodzimy się od wspólnych pradziadków, którzy gospodarowali na tej ziemi. - W jego słowach Ginny wychwyciła ledwie uchwytny smutek. Mitch kochał rodzinną siedzibę i ranczo, uwielbiał prowadzić interesy, lecz nie miał dzieci, które przejęłyby spuściznę.

Mniej więcej w połowie drogi do Los Angeles poprosił ją, by opowiedziała mu o swym życiu na Florydzie.

Ginny nie była pewna, co naprawdę chce wiedzieć, więc mówiła o wielu rzeczach, o pracy w restauracji i o tym, jak Joey kocha ocean.

- W tych historiach często występuje twoja przyjaciółka Maggie - zauważył Mitch. - Ale nie ma żadnego mężczyzny. Czy masz jakiegoś przyjaciela? A może wciąż czekasz na ojca Joeya?

- Nie mam czasu ani ochoty na romanse.

- Jesteś młoda i ładna. Myślałem, że w Fort Lauderdale krąży wokół ciebie rój młodych mężczyzn.

- Nigdy tak nie było - odparła cicho. - Zresztą samotna matka odstrasza, co innego młoda naiwna dziewczyna.

- Ci głupcy nawet nie wiedzą, ile stracili.

Uśmiechnęła się na ten komentarz. Na kilka sekund ich spojrzenia skrzyżowały się. Czy w innym czasie i sytuacji znaleźliby coś wspólnego? Czy wówczas uczucie, jakie żywiła do Mitcha, mogłoby zostać odwzajemnione? Czy powinna wyjaśnić, że szuka ojca Joeya jedynie po to, by powiedzieć mu, że ma syna? Lecz co to obchodzi Mitcha...

- Zakupy zrobimy po przylocie do Los Angeles. Na Rodeo Drive są dobre sklepy.

- Rodeo Drive! - Słyszała o eleganckich, modnych sklepach słynących z drogich, luksusowych towarów. - Wystarczy zwykły dom towarowy.

- Skoro mają to być ubrania służbowe, firma pokryje koszty - rzucił od niechcienia Mitch.

- Nie mogę pozwolić, żebyś kupował mi ubrania! Wystarczająco dużo zrobiłeś dla Joeya.

- Nie kłóć się, Ginny. To wydatki służbowe. Nie potrzebowałabyś tych rzeczy, gdybyś mi nie pomagała. Nie chcę więcej do tego wracać.

W kilka godzin później, gdy wreszcie zameldowali się w hotelu "Innsbrook", Ginny była zmęczona, głodna i... podekscytowana dokonanymi zakupami. Kostium będzie idealny do rozmów o pracę, gdyby się na to zdecydowała po powrocie na Florydę. A sukienka, którą zdaniem Mitcha powinna włożyć na służbową kolację, była odważna i słodka. Nigdy nie miała nic równie wspaniałego. Do tego idealnie dobrane pantofelki...

- Zamówię trochę przekąsek. Zjemy, jak się przebierzesz - powiedział Mitch, gdy wchodzili do apartamentu. - Zaraz potem ruszamy do biura, nim ruch się nasili.

- To może być jeszcze gorzej?

- W godzinach szczytu mamy tu prawdziwe drogowe piekielko. Dziś najpewniej zostaniemy w biurze do późna,

więc coś zamówimy przez telefon. Jutro jemy kolację z Morrisami i Turnerami.

Ginny poszła do swego pokoju, by się przebrać. Kiedy wróciła do salonu, Mitch uniósł brwi na jej widok.

- Coś nie tak? - zaniepokoiła się.
- Wyglądasz inaczej, poważniej, inaczej niż w domu.
- Mam być twoją fachową i kompetentną sekretarką. Czy ludzie będą traktować poważnie kogoś, kto chodzi w wytartych dżinsach?

Rozbawienie błysnęło w jego oczach.

- Fachowa i kompetentna?
- Cóż... - Zarumieniła się. - Chciałam przynajmniej tak wyglądać.

- Dobrze sobie radzisz, zwłaszcza jak na kogoś, kto nie ma przygotowania. Zjedz coś. Musimy niedługo wychodzić.

Reszta dnia upłynęła na gorączkowej pracy w biurze. Ginny poznała najważniejszych ludzi z Los Angeles. Wszyscy wiedzieli, że zastępuje Helen, więc odnoszono się do niej przyjaźnie.

Mitch był w swoim żywiole. Cieszył się wielkim autorytetem, co okazało się szczególnie ważne w sytuacji kryzysowej. Był nie tylko szefem, ale również przywódcą. Czulo się, że pokona chaos, który wdarł się do firmy.

Kiedy zaczęto mówić o wielomilionowych pomyłkach, Ginny zdumiała się. Mitch był dużo bogatszy, niż przypuszczała. A przecież chodziło tylko o jedną z wielu zarządzanych przez niego firm.

Nic dziwnego, że sfinansowanie operacji Joeya było dla niego drobiazgiem. Nadal jednak zamierzała zwrócić mu pieniądze, bo tak nakazywał jej honor.

Kiedy wrócili do hotelu, Ginny natychmiast położyła się spać. To był długi i meczący dzień. Jak Mitch wytrzymuje takie tempo? - pomyślała i zaraz zasnęła.

Mitch znów zerknął na zegarek. Już po siódmej, a z pokoju Ginny nie dobiegł żaden szmer. Wkrótce podadzą śniadanie.

Chwilę się wahał, potem lekko uchylił drzwi i zajrzał do środka. Ginny spała na boku z ręką podłożoną pod policzek, jak to robią dzieci.

Wszedł i przyglądał się jej przez kilka sekund. Wyglądała młodziej niż Ginny, która niespodziewanie zjawiała się u niego kilka tygodni temu. Miała niewiele wspólnego z elegancką sekretarką, która pomagała mu wczoraj w biurze.

To dało mu do myślenia. Nigdy nie zwracał uwagi na strój Helen. W każdej sytuacji prezentowała się nienagannie i tak miało być. Natomiast Ginny w służbowym kostiumie wydawała mu się mało naturalna.

Wolał, gdy wyglądała zwyczajnie.

Tak jak teraz, gdy cerę miała zaróżowioną od snu, a włosy rozrzucone w nieładzie wokół głowy. Piersi delikatnie falowały przy oddechu.

Tak bardzo pragnął Ginny. Zauroczyła go pogodnym usposobieniem, które zachowała mimo niełatwego życia, otwartością na ludzi i głęboką prawością. Była ładna, nawet bardzo ładna, lecz dla Mitcha miało to znaczenie dopiero w połączeniu ze wspaniałym charakterem. Zdał sobie sprawę, że chciałby z nią spędzić życie.

- Ginny - powiedział cicho. Ani drgnęła. - Ginny! - powtórzył głośniejszym głosem, podszedł do łóżka i położył dłoń na jej ramieniu. Poczul ciepło jej ciała i delikatną, aksamitną skórę. - Ginny, pora wstawać.

Powoli otworzyła oczy. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Potem napotkała wzrok Mitcha i zdumiała się. Niechętnie cofnął rękę.

- Czy już późno? - Kiedy usiadła, zdała sobie sprawę, że ma skąpą koszulkę, więc podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Już po siódmej. Zaraz przyniosą śniadanie. Musimy wyjść o ósmej.

- Będę gotowa!

Mitch wyszedł, nie odwracając się. Wolał nie ulegać wdziękom swej uroczej sekretarki. Ta kusa koszulka bardzo go zdumiała. Nie tego spodziewał się po skromnej Ginny.

Tak jednak już się działo, że wciąż go zdumiewała. Myślał, że będzie prowadziła wobec niego grę, lecz poza owym pocałunkiem zachowywała powściągliwość. Czy jej strategia była jeszcze bardziej wyrafinowana, czy też Ginny brakło doświadczenia?

Och, przecież była kobietą doświadczoną, która wiele przeszła i twardo walczyła o byt. Zarazem jednak w niepojęty sposób roztaczała wokół siebie aurę niewinności.

No i zaprzyjaźniła się z Emaline. Nawet jego kuzyni mieli trudności w porozumieniu się z ciotką, jednak Ginny i Joey uwielbiali jej towarzystwo.

Mitch podszedł do okna i spojrział na panoramę Los Angeles, wieżowce i autostrady. Z radością wróci na ranczo, gdy już opanuje sytuację. A Ginny?

Przez chwilę zabawiał się myślą, by zaproponować jej stałą pracę w Tumbleweed. Ona i Joey łatwo by się zaadaptowali w Teksasie. Mały uwielbiał zwierzęta, a Ginny...

Problem w tym, że Ginny była ambitna i dumna. Nie przyjęłaby jałmużny, musiałyby to być prace zapewniające jej prawdziwą niezależność.

Po śniadaniu pojechali do biura.

- Czy przepisałaś notatki z wczorajszej narady? - spytał Mitch, gdy taksówka przeciskała się przez korki.

- Tak. Sekretarka Jasona obiecała, że wszystko wydrukuje.

- Jakież problemy?

- Żadnych.

Zerknął na nią i zauważył, że sukienka nieskromnie się podwinęła, odsłaniając opalone udo. Mitch wziął głęboki wdech i wyjrzał przez okno, koncentrując się na czekających go dziś zadaniach. Jednak nie za dobrze mu szło. Szczęśliwie właśnie podjechali pod budynek firmy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Koło szóstej Ginny chciała wrócić do hotelu, wziąć gorącą kąpiel i spać przez dwanaście godzin. Mitch był niesamowity. Wiedział wszystko o pracownikach, pamiętał wyniki sprzedaży z ostatnich kilku lat, znał szczegóły sporów ze związkowcami i całą historię firmy. Próbowła za nim nadażyć, ale co i rusz traciła wątek.

Irytujące przy tym było, że pod koniec dnia Mitch wyglądał równie świeżo i dziarsko jak rano. Miał tyle energii co Joey!

Pod koniec pracy wymknęła się do recepcji i zadzwoniła na ranczo. Chwilkę pogawędziła z Emaline, potem z synem. Upewniwszy się, że jest szczęśliwy i pod dobrą opieką, niechętnie skończyła rozmowę. Tęskniła bardzo, ale nie musiała się obawiać o synka.

- Jakież problemy? - spytał Mitch, gdy wszedł do recepcji.

- Żadnych. Joey wreszcie wstał. Emaline i Rosita pilnują go, żeby się nie przemęczał i nie dokazywał, ale i tak się cieszy, że już nie musi leżeć. Idziemy?

- Spotykamy się z Morrisami o wpół do ósmej w „Znaku Zorro”. Zdasz się przebrać?

A więc przysły marzenia o gorącej kąpeli. Wpadli do hotelu, Ginny zmieniła kostium na małą czarną i wrócili do pracy.

- Nigdy się nie męczysz? - jęknęła, biorąc torebkę i stos dokumentów dla Mitcha.

- Nieczęsto. A ty jesteś zmęczona? Wyprostowała się i poszła w kierunku wind.

- Ani trochę - skłamała. - Ale nie wytrzymałabym długo takiego tempa.

- Odpoczywam na ranczu.

Uśmiechnęła się. Też mi odpoczynek. Konne objazdy, sprawdzanie płotów, przeganianie bydła, o telefonach i

faksach nie wspominając. Ciągłe podejmowanie decyzji wartych miliony dolarów.

- Powiedziałem coś śmiesznego?

- Zastanawiam się, co nazywasz odpoczynkiem. A plaże, turnieje siatkówki i zawody pływackie?

- Rzadko bywam na plaży.

- Za spokojnie, co?

- Za daleko.

- Nigdy nie bierzesz sobie wolnego? Na pewno spędzałeś wakacje z rodziną.

- Z Marlisse i Daisy jeździliśmy na kemping i do parków krajobrazowych. Raz nawet poleciliśmy do Calgary Stampede.

- Ale nie na plażę. Odwiedź nas czasem. Zobaczymy, jak długo wytrwasz bez ruchu na gorącym piasku - wyrwało się jej. Wstrzymała oddech. Czy Mitch domyśla się, jak bardzo pragnęła, by ich znajomość przetrwała? I to nie aa zasadach szef - sekretarka, lecz by przerodziła się w coś zupełnie innego.

Jednak Mitch mruknął tylko enigmatycznie:

- Może, kiedyś...

Gdy przybyli do modnej restauracji, Ginny miała wrażenie, że znalazła się w krainie marzeń. Wystrój był piękny i drogi, a przestrzeń wokół każdego stolika kontrastowała z zapchanym wnętrzem „Tom's Fish Shack”, gdzie chodziło tylko o to, by pomieścić jak najwięcej gości.

Gdy Harry Morris zaczął mówić o pracy, Mitch szybko mu przerwał:

- Skoro są z nami panie, darujmy sobie te nudne tematy. - I gładko przeszedł do najnowszych wydarzeń kulturalnych.

Ginny bardzo się to spodobało. Spodziewała się służbowej kolacji, a w rezultacie spotkanie nabrało lekkiego, towarzyskiego charakteru. Po omówieniu nowości

wydawniczych zaczęto roztrząsać zalety i wady plaż Florydy i Kalifornii. Ginny z humorem wychwalała swoje strony, Morrisowie nie mniej zajadle bronili Kalifornii. Wszyscy świetnie się bawili.

Kiedy rozmowa zeszła na dzieci, Ginny zerknęła na Mitcha, zastanawiając się, czy powinna zmienić temat. Ogromnie ją jednak zaskoczył, gdy z werwą opowiedział, jak Joey sprytnie targował się o odwiedzinę psa. Na koniec puścił do niej oko. A gdy pili kawę i koniak, powiedział:

- Mają tu świetny zespół. Czas na tańce!

- Och, litości, nie cierpię tych wygibasów - jęknął Harry.

- Hej, staruszkule! - roześmiała się jego żona. - To polecenie samego szefa. Rusz się, Harry.

Więc się ruszył, podobnie jak Jim ze swoją małżonką.

Mitch spojrzał na Ginny.

- Pozwolisz?

Choć czuła się nieco speszona, taniec w ramionach Mitcha był wspaniałym ukoronowaniem wieczoru. Chciała nacieszyć się tą chwilą. Niedługo pozostaną jej tylko wspomnienia o zakochanej sekretarce i szefie, który nie domyślał się jej uczuć. Grano wolny, romantyczny utwór. Wtuleni w siebie, poruszali się rytmicznie. Ginny każdym zmysłem chłoneła czarowną atmosferę tego tańca. Takie powinno być życie, myślała. Dwoje ludzi cieszy się, że są razem.

- Poszedłbym już do hotelu - szepnął. - A ty?

- Jeśli chcesz. - Była bardzo rozczarowana. Zatańczyli tylko raz, a Mitch już chciał wyjść. Niepotrzebnie się oszukiwała. Pora wracać do rzeczywistości.

Mitch usprawiedliwił ich wyjście porannym lotem do Dallas. Gdy jednak dotarli do hotelu, zamiast udać się do apartamentu, powiedział:

- Ginny, masz ochotę jeszcze potańczyć? W podziemiach jest bar, gdzie grają dobre zespoły.

- Myślałam, że jesteś zmęczony. - Była zdziwiona, ale jeszcze bardziej uradowana.

- Tak miało to wyglądać. Postanowiłem zwinąć żagle w dyplomatyczny sposób, by nie powstały plotki.

- Plotki? Jakie plotki?

- Każdy, kto widziałby nas w tańcu, mógłby pomyśleć, że łączą nas nie tylko służbowe więzi.

- Naprawdę? - Serce zabiło jej mocniej. - Dlaczego?

- Przecież dobrze wiesz, Ginny. Bo jest między nami coś więcej i tylko ślepy by tego nie zauważył. Tańczymy?

- Jasne, że tańczymy.

Parkiet w hotelowym barze był prawie pusty, tylko dwie pary skorzystały z okazji. Kiedy Mitch wziął ją w ramiona, Ginny pragnęła, by trwało to bez końca. Joey, praca i życie na Florydzie odsunęły się na drugi plan. Czuła się dziwnie lekka i swobodna. Mitch wypełnił jej zmysły, rozpałał wyobraźnię.

Kochała Mitcha. To uczucie różniło się od jej doświadczeń z przeszłości. Było silniejsze i dojrzałe od tego, którym obdarzyła niegdyś ojca Joeya.

Ubóstwiała tańczyć z Mitchem, być blisko niego, rozmawiać, żartować, nawet się kłócić. I pragnęła go, pożądała. Mogłaby z nim być szczęśliwa i zrobiłaby wszystko, by on również był szczęśliwy.

Lecz to nigdy się nie spełni. Po tragedii sprzed dwóch lat Mitch wyrzekł się osobistego życia i ona tego nie zmieni. Co więcej, musi to uszanować. Pozostaną jej tylko wspomnienia. Dlatego powinna nazbierać ich jak najwięcej.

Było już późno, kiedy ruszyli do wind. Ginny miała poczucie dziwnej nierealności, jakby kroczyła po obcej, choć urokliwej krainie.

- Bawiłam się doskonale - powiedziała rozmarzonym głosem, gdy zamknęły się drzwi windy. - Los Angeles jest cudowne.

Przyciągnął ją do siebie, palcami kreślił małe kolka na jej ramieniu.

- Bardziej niż Tumbleweed?

- Nie, z ranczem nic nie może się równać. Poza tym bardzo polubiłam Emaline, Rositę... - Zamilkła, by nie powiedzieć za dużo.

Gdy dotarli do apartamentu, Mitch otworzył drzwi. Światła były zgaszone, jedynie za oknem migotało miasto.

- Jakie to piękne! - zawołała Ginny, wpatrując się w nocny pejzaż.

- Nie tak piękne jak ty. - Mitch wziął ją w ramiona. Gdy ich usta spotkały się, Ginny włożyła w pocałunek całe serce. Tak cudownie czuła się z Mitchem. Czas zniknął, była jedynie ta chwila i rosnące emocje. Gdyby tak mogło zostać na zawsze!

- Pragnę cię, Ginny. - Całował jej policzki, szyję i znów usta. - Zostań ze mną tej nocy.

Nie mówił o miłości, lecz o pożądaniu. Godziła się na to, sama płonęła z żądz. Mitch chciał, by z nim była przez całą noc. Czyżby wreszcie rozstał się z cieniem żony?

- Ja też cię pragnę, Mitch. - Przywarła do niego mocniej, a on podniósł ją, tuląc do piersi. - Nie wierzę - mruknęła. - To się zdarza tylko w kinie.

Zamknął jej usta, wniósł do swej sypialni, delikatnie położył na łóżku i zdjął jej pantofle. Zaczęła marzyć, że tak będzie już zawsze. Że już nigdy nie będzie samotna. Że połączy ich prawdziwa miłość.

- Nie będziesz żałowała, Ginny? - spytał zmienionym głosem.

To było jak kubek zimnej wody. Nie spełnią się jej marzenia. Tylko ta jedna noc. Wyjątkowa, cudowna noc...

- Ani trochę. - Wzięła w ręce jego twarz i pocałowała. Poczwała się silna, chciała pokazać Mitchowi, jak bardzo go

pragnie. Odpędziła żal, postanowiła brać to, co daje jej los. Skoro kochała Mitcha, jak mogłaby zrezygnować ze wspólnej nocy?

Powoli rozbierali się nawzajem, niespiesznie dotykając się, całując i pieszcząc. Wszelkie opory zniknęły. Wreszcie pomknęli w krainę czystej rozkoszy i spełnienia.

Przed samym zaśnięciem Ginny dręczyło tylko jedno. Czy powiedziała głośno, że go kocha?

Dzień rozjaśniał pokój, gdy Mitch otworzył oczy. Głowa Ginny spoczywała na jego ramieniu. Obejmowała go jedną ręką. Jej nogi splątały się z jego nogami.

Jego żona nie żyła od dwóch lat. Kiedy po raz pierwszy poszedł na randkę po śmierci Marlisse, dręczyło go sumienie. Wszystkie próby, jakie podejmował, kończyły się totalną klęską, bo kobiety, z którymi się spotykał, obsesyjnie porównywał z Marlisse.

Nie ruszał się, by nie obudzić Ginny. Chciał zyskać kilka chwil tylko dla siebie. Jej blond włosy rozsypane na jego ramieniu były miękkie i jedwabiste. We śnie wyglądała tak młodo, wolna od codziennych trosk.

Znów jej pragnął. Mógłby obudzić ją pocałunkiem i pieścić, aż jej ciało zapłonęłoby żarem, który pochłonał ich w nocy. Była pełna subtelnych uczuć i namiętna, delikatna i bezwstydna.

Mogliby znów się kochać...

I co dalej?

Nie chciał myśleć o przyszłości. Dobrze, że miał Ginny obok siebie w łóżku, że mógł obudzić ją pieszczotą.

Powoli przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Powiedziała Mitchowi, że nie będzie żałowała. Jednak rano, gdy stała pod prysznicem, była przepełniona żalem.

Tak, nie oczekiwała żadnych deklaracji, tak, wiedziała, że ta noc nie odmieni Mitcha, tak, wiedziała, że się w niej nie zakocha.

I co z tego, że wiedziała? Marzyła o tym, w głębi serca liczyła, że tak się stanie.

Pozostał więc jej tylko żal.

I powrót do realnego życia. Ta noc była magicznym momentem wyrwanym z czasu. Muszą zdążyć na lot do Dallas, żeby przed kolacją wrócić na ranczo. Kilka minut przedtem rozmawiała z Joeyem. On był najważniejszy. Przepęłniała ją miłość do syna. Zachowa wspomnienia z Los Angeles, ale zostanie sama jak wtedy, kiedy odkryła podłość ojca Joeya.

Kiedy wróci Helen, wtedy wszystko ostatecznie się skończy. Czy Ginny zdoła wyjść, nie oglądając się za siebie? Jak zdoła żyć samotnie, pamiętając te chwile?

Ta noc dowiodła, że idealnie do siebie pasują. Z siłą, która ją przerażała, pragnęła, by ten związek trwał i trwał. Dlaczego Mitch nie może jej pokochać? Jak długo będzie opłakiwał zmarłą żonę? Kiedy naprawdę wróci do życia?

Ginny włożyła nowy kostium niczym ochronną zbroję. Nie chciała, by Mitch jej dotykał. Jest tylko sekretarką i tak ma pozostać. Z tym postanowieniem weszła do salonu.

Mitch wyglądał przez okno. Osławiony smog powrócił, zasnuwając niebo nad Los Angeles.

- Gotowa?

- Tak.

- To dobrze. Zadzwońię po taksówkę.

Zapadła niezręczna cisza. Ginny pogratulowała sobie, że włożyła służbowy kostium. Bardziej swobodny strój byłby kompletnie nie na miejscu w tej atmosferze.

- Rozmawiałam z Joeyem - powiedziała wreszcie, gdy milczenie stało się nie do zniesienia. - Jest coraz lepiej. Już go nie boli i chce pojeździć konno.

- Jeśli lekarz pozwoli, wsadzimy go na łagodną klaczkę albo wałacha.

- Dzięki. - Czy jeszcze będą na ranczu, gdy zdejmą Joeyowi bandażę? Helen mogła wrócić każdego dnia...

- Ginny, posłuchaj... - Nie dokończył, bo rozległo się pukanie do drzwi.

Portier przybył po bagaże.

Wkrótce znaleźli się na lotnisku, po godzinie już byli w górze.

Lot dłużył się niemiłosiernie. Ginny wzięła ze sobą kilka czasopism i przeczytała je od deski do deski. Mitch też nie palił się do rozmowy o minionej nocy. Wertował dokumenty i z pokładowego telefonu konferował z centralą w Dallas, potwierdzając decyzje podjęte w Los Angeles.

W samochodzie udała, że zasnęła, by uniknąć rozmowy. Wiedziała, że to tchórzostwo, ale musiała nabrać dystansu, by poradzić sobie z tą sytuacją.

Oczywiście czułaby się inaczej, gdyby Mitch w jakiś sposób przekazał jej, że ta noc miała dla niego szczególne znaczenie. Niestety był kompletnie obojętny, co doprowadzało ją do szaleństwa. Woląла więc uniknąć dyskusji. Bała się zarówno tego, co mogłaby powiedzieć, jak i tego, co mogłaby usłyszeć.

W domu natychmiast poszła do pokoju Joeya. Gdy ścisła synka, miała wrażenie, że jej świat wraca do normy. To była jej rzeczywistość. Nie żadne tam bajkowe marzenia o Mitchu, lecz jej ukochany skarb.

- Tęskniłem, mamusiu - powiedział Joey.

- Ja też tęskniłam, kochanie. - Zdjęła żakiet i położyła się obok synka. - Opowiedz o wszystkim, co robiłeś.

- Cześć, Mitch! - zawołał radośnie chłopiec.

Mitch opierał się o framugę drzwi. Serce podskoczyło jej jak zwykle na jego widok. Nie spodziewała się, że tu zajrzy.

- Cześć, Joey. Jak leci?

- Jestem już prawie zdrowy. Tęskniłem za mamą i tobą, ale w ogóle się nie nudziłem. Ciocia Emaline powiedziała, że zrobi na mnie majątek.

- To znaczy? - zainteresowała się Ginny.

- Będzie w butelkach sprzedawać moją energię, bo mam jej tyle, że wystarczy dla miliona ospałych ludzi, żeby już nie byli ospali. - Podskoczył na łóżku. - Rosita ma fajne gry. Najlepsza to „Cukierkowa Kraina”, ale nie ma tam prawdziwych cukierków. Ciocia Emaline nauczyła mnie grać w karty. Możemy zagrać, mamó? Ciocia Emaline mówi, że mam do tego talent.

Ginny roześmiała się. Uwielbiała słuchać paplaniny Joeya. Teraz jednak miała mały kłopot.

- Chętnie z tobą zagram, ale nie mam kart. Jutro pojedę do miasteczka i je kupię.

- Ja mam karty - rzekł Mitch. - Dam Joeyowi talię. Ginny uderzyło, jak samotnie wyglądał w drzwiach, jakby przyglądał się czemuś, do czego nie może się przyłączyć. A może chciał, tylko nie wiedział, jak to zrobić?

W tym pokoju mógł czuć się intruzem. Chciałaby mu pomóc, choć wiedziała, że sprawa jest delikatnej natury. Mitch gotów uznać jej zabiegi za nachalną próbę zbliżenia się do niego.

Jednak zebrała się na odwagę.

- Mitch, może opowiesz Joeyowi, jakie gry lubiłeś, kiedy byłeś małym chłopcem?

Wyprostował się gwałtownie.

- Nie mogę - mruknął. - Muszę iść do biura. - I zaraz zniknął.

Ginny posmutniała. Miała nadzieję...

- Mamo, pan Parlance przyprawiał do mnie psy. Najbardziej polubiłem jednego, co nie ma ogona. I on mnie polubił. Głaskałem go, a on mnie lizał. I tak śmiesznie ruszał uszami, jak do niego mówiłem.

- Szkoda, że mnie przy tym nie było. - Usiłowała skupić się na opowieści synka, ale wciąż myślała o Mitchu. Czy kiedykolwiek się zmieni? Coraz bardziej w to wątpiła. Uciekł do biura, skrył się w gabinecie jak w fortecy. ..

Wyjazd do Los Angeles przechodził do historii.

Emaline czekała na nią z kolacją. Ginny wciąż miała na sobie kostium, w którym przyjechała, Emaline pochwaliła jej strój.

- Nie jest tak kwiecisty i kobiecy jak twój. - Usiadła za stołem.

- Bardzo lubię moje zwariowane suknie - uśmiechnęła się Emaline. - Ale nie są dla wszystkich. Świetnie wyglądasz w tym kostiumie, bardziej dojrzałe. Jak zakupy w Los Angeles? Od lat tam nie byłam. Gdybyśmy pojechali wszyscy, mogłybyśmy zabrać Joeya do parku rozrywki, kiedy Mitch byłby w pracy.

- Pojechałam pomagać Mitchowi. - Uśmiechnęła się promiennie do Rosity, która wniosła rostbef z młodymi ziemniakami. - Dziękuję ci za gry dla Joeya. Poświęciłaś mojemu synkowi dużo czasu. Nie zameczył cię?

- To słodki dzieciak. Jeśli będzie tu, kiedy odwiedzą mnie moje wnuki, stworzą taką bandę, że dopiero nas zameczą. - Roześmiała się.

- A czemu miałoby go nie być? - spytała Emaline. - Jak tylko zdejmą mu bandażę i upewnią się, że oko jest w porządku, dopiero zacznie się zabawa. Jack powiedział, że osiodła dla niego łagodnego konia, jeśli się na to zgodzisz, Ginny. Bo niby czemu nie. Daisy w jego wieku miała

własnego kucyka i bardzo o niego dbała, choć oczywiście nie ze wszystkim sobie jeszcze radziła, bo miała wtedy tylko cztery latka. Jeździła na nim na lonży, rozmawiała z nim i karmiła marchewkami. Pamiętasz, Rosito?

- Oczywiście, proszę pani. Przyniosę bułeczki. Miejsce Mitcha było nakryte, ale się nie zjawiał.

- Joey mówił, że nauczyłaś go grać w karty.

- Daisy uwielbiała karty. W złą pogodę grała z Marlisse. Mitchem albo we trójkę. Przygotowywali popcorn i spędzali całe popołudnie przed kominkiem. - Emaline umyśliła się. - Zawsze będzie mi ich brakować...

Ginny pomyślała, że Mitch, gdy wspomniała o kartach, przypomniał sobie tamte deszczowe dni, gdy grał w karty z żoną i córką. Nic dziwnego, że nie chciał dziś dołączyć niej i Joeya.

Było jasne, że nie zamierza też towarzyszyć im przy kolacji. Ginny starała się ignorować puste miejsce, ale wciąż rozpamiętywała wczorajszą kolację i to, co stało się potem.

Następnego ranka Ginny włożyła dzinsy i sweterek. Praca czeka. Nie można żyć samymi fantazjami.

Kiedy weszła do sekretariatu, zdumiała się. Za jej biurkiem siedziała nienagannie ubrana kobieta.

- Ty pewnie jesteś Ginny Morgan.

- A ty Helen. - Serce Ginny zamarło.

- Mitch pojechał z samego rana. Ledwie zdążyliśmy zamienić parę słów. - Spojrzała na Ginny. - Jakoś sobie poradziłaś pod moją nieobecność. Mitch powiedział mi, że nie jesteś wykwalifikowaną sekretarką, co wiele wyjaśnia.

Ginny poczerwieniała z zażenowania. Starła się z całych sił. Odkąd okiełznała faks, Mitch się nie uskarżał. Ale wiedziała, że jeszcze daleko jej do prawdziwego profesjonalizmu. A teraz Helen wróciła.

- Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku, a twoja matka wyzdrowiała.

- Teczki są uzupełnione, a korespondencja ułożona, dam sobie radę. Moja matka wraca do zdrowia. Przyjechała jej siostra, więc mogłam wrócić. - W jasny sposób ją odprawiła.

- Będę w domu. Daj mi znać, gdybyś czegoś nie mogła znaleźć. - Ginny obróciła się na pięcie i odeszła z wysoko podniesioną głową.

Nie miała powodów, by zostać na ranchu dłużej niż do jutra, kiedy bandaż Joeya zostaną zdjęte. Ich lekarz na Florydzie zajmie się nim przez kilka następnych miesięcy. Dzięki hojności Mitcha, Ginny wciąż miała lwią część zebranego funduszu operacyjnego, który pokryje koszty rehabilitacji.

Oczywiście wciąż pozostawała kwestia zwrócenia Mitchowi pieniędzy, ale zajmie się tym, gdy znajdzie sobie pracę. Wprawdzie przy jej zarobkach może nie starczyć na to życia, lecz nie należy tracić nadziei.

Po kąśliwym komentarzu Helen musiała poważnie zastanowić się, czy powinna szukać biurowej pracy. Nie każdy jest stworzony do takiej roboty.

Poszła do swego pokoju, wyciągnęła walizkę i zaczęła się pakować. Rano pojedą do Dallas na wizytę u chirurga, a po południu ruszą na Florydę. Przy odrobinie szczęścia stare auto wytrzyma i będą w domu po paru dniach.

Zadzwoń do Toma i sprawdzi, czy jeszcze ma pracę. Potem spróbuje zapisać się na kursy biznesu. Polubiła pracę w biurze. Gdyby znalazła nieco czasu, uczyłaby się chętnie.

Delikatnie spakowała kostium, wygładzając palcami materiał. Przyda się podczas szukania pracy, kiedy już zdobędzie kwalifikacje. Za każdym razem, gdy go włoży, przypomni sobie Mitcha i szaloną podróż do Los Angeles.

Czy Mitch wystawi jej referencje?

- Co robisz?

W drzwiach stał Mitch ze stetsonem w ręku. Dżinsy miał zakurzone, buty brudne. Nawet przez pokój Ginny czuła woń koni i bydła. Serce jej zamarto.

- Pakuję się. Wróciła Helen.

- Wdziałem się z nią rano, zanim pojechałem sprawdzić ogrodzenie, które wymaga naprawy. Przed chwilą powiedziała mi, że byłaś w biurze, ale nie potrzebowała pomocy. - Spojrzał na otwartą walizkę. - Wyjeżdżasz?

- Tak będzie najlepiej. Już mnie nie potrzebujesz, bo jest Helen. Zabiorę Joeya do Dallas i po wizycie u lekarza jedziemy do domu.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Ginny aż skręcała się pod jego spojrzeniem, ale usiłowała zachować spokój. Chcąc uniknąć jego wzroku, ponownie zajęła się pakowaniem.

- Nie jedź - powiedział tak cicho, że wzięła to za wytwór wyobraźni.

- Słucham? - Podniosła wzrok. Mitch wpatrywał się w dywan.

- Zostań. Znajdziemy ci jakąś robotę.

- A niby jaką? Nie jestem kowbojem. Oboje wiemy też, że marna ze mnie sekretarka. Musiałabym się porządnie podszkolić. Wystarczy ci Helen, a w twoich biurach nie ma wakatów. Nic tu po mnie.

- Coś znajdziemy.

- Nie mogę zostać. Już i tak nadużyliśmy twojej gościnności.

Równie dobrze mogłaby powiedzieć: „Nie potrzebuję niczyjej łaski”. Wiedział, że to będzie trudna rozmowa. Ginny była dumna i ambitna.

- Wcale nie. Joey lubi tu być. Emaline lubi jego towarzystwo. Jest dość duży, by mieć kucyka.

- Na którego nas nie stać. - Dlaczego wszystko tak bardzo utrudniał?

- Ale mnie tak.

Pokręciła głową, zdumiona jego uporem i arogancją. Nie mogła od niego przyjąć nic więcej.

- I tak jesteśmy twoimi dłużnikami.

- Pomogłaś mi w potrzebie, jesteśmy kwita.

Ginny była odmiennego zdania, ale nie zamierzała się z nim kłócić. W domu zrobi kalkulację, ile pieniędzy będzie mu wysyłała tygodniowo.

- Nie poszłaś do college'u. Spróbuj tutaj. Przekonaj się, czy wciąż chcesz być architektem. Joey może zacząć chodzić do szkoły w Tumbleweed od jesieni. Emaline i Rosita będą opiekowały się nim popołudniami.

- Mitch, nie mogę zostać. Nie mam pracy ani żadnych dochodów. Oszczędności nie starczą na długo, a nie mogę pozwolić, byś opłacał za mnie college. Zgodziłam się, byś sfinansował operację Joeya, ale to zupełnie inna sprawa. Naprawdę nie mogę zostać.

- Możesz zostać i studiować, jeśli za mnie wyjdiesz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Musiała mieć omamy słuchowe. Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Wyjść za Mitcha?

- Małżeństwo? - wydusiła z siebie. Spojrzała jej w oczy i skinął głową.

- Wyjdź za mnie i zostań w Tumbleweed. Joey kocha to ranczo. A ty mówiłaś, że też je lubisz.

W umyśle Ginny zrodziło się tysiące pytań, ale najważniejsze było poczucie szczęścia. Mitch pragnie, by została i wyszła za niego!

Podeszła bliżej, patrząc mu prosto w oczy.

- Jesteś tego pewien? - Przed laty sądziła, że niedługo stanie na ślubnym kobiercu, ale tamten mężczyzna zniknął z jej życia. Teraz była mu za to wdzięczna. Miłość do Mitcha była silniejsza od uczucia, którym obdarzyła niegdyś ojca Joeya. Ale nie spodziewała się propozycji małżeństwa.

Przyciągnął ją do siebie, zamykając w objęciach.

- Jestem zakurzony i spocony...

- I co z tego? - Pocałowała go.

Czy zawsze będzie traciła dech w jego obecności, czy zawsze będą rozpałały ją jego pocałunki? Tego chciała, o tym marzyła.

Objęła go ramionami i całowała, wkładając w to wszystkie uczucia. Kochała go, a on ją. Wspólnie spędzą życie!

Niech no tylko powie o tym Joeyowi. I Emaline. I Maggie.

- Kocham cię, Mitch - szepnęła. Odsunął ją odrobinę.

- Zatem postanowione. Pobieramy się, a ty tu zostajesz. Pozwól mi wziąć prysznic i powiadomić innych. - Poglaskał policzek Ginny. - Joey się ucieszy.

Uśmiechnęła się, lecz nie wypuszczała go z objęć. Był jej! Może go dotykać, kiedy zechce; widzieć, gdy zapragnie. Chciała wejść na dach i oznajmić tę nowinę całemu światu! Wydrukować ją we wszystkich gazetach, rozkleić plakaty.

- Będzie zachwycony. I zameczy cię, żebyś pozwolił mu zostać kowbojem. - Była uradowana, że Mitch wspomniał o jej synku.

Skinął głową i delikatnie wyswobodził się z jej ramion.

- Spotkamy się na lunchu i wspólnie powiemy Emaline i Joeyowi.

Ginny patrzyła, jak idzie do swojego pokoju. Chciała pójść za nim. Z rozkoszą czekałaby, aż wyjdzie spod prysznic, patrzyła, jak się ubiera. Ich zmagania miłosne w Los Angeles były wspaniałe, teraz będą jeszcze lepsze, skoro zamierzają spędzić wspólnie resztę życia.

Szybko się rozpakowała.

Czeka ją przeprowadzka do pokoju Mitcha, a do tego nie potrzebuje walizki.

Oczywiście miała jeszcze rzeczy na Florydzie. Może spędzą tam miesiąc miodowy i zlikwidują jej mieszkanie. Niezbyt to romantyczne, za to praktyczne.

Szczotkowała włosy i rozmyślała gorączkowo. Jak szybko się pobiorą? Zostaną na ranczu, czy przeprowadzą się do Dallas? Czowała błogość w sercu. Mitch ją kochał.

Czy aby na pewno?

Zamarła. Wcale tego nie powiedział, ale... Ale mężczyzna nie prosi kobiety o rękę, jeśli jej nie kocha. Faceci nie są tacy wylewni jak kobiety, zawsze o tym słyszała. Na pewno ją kocha.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, wątpliwości narastały. Musi ją kochać. Kochała go tak bardzo, że nie zniosłaby braku miłości z jego strony. On tego nie powiedział. Ona zaś głośno i wyraźnie.

Może był trochę nieśmiały. Akurat! Mitch i nieśmiałość... Czemu więc nic nie powiedział?

Bo jej nie kocha. Bo wciąż jest zakochany w swojej zmarłej żonie. Kim więc jest dla niego Ginny?

Mitch ogłosił zaręczyny, gdy usiedli przy stole w obecności Rosity. Ginny nie zdążyła z nim porozmawiać, a teraz nie wypadało, gdy wszyscy byli podekscytowani tą informacją. Później przyprze go do muru i zada kilka prostych pytań. Tymczasem robiła dobrą minę do złej gry, nie pozwalając, by przeważały obawy i wątpliwości.

- Och, kochanie. - Emaline uściskała Ginny. - Jestem zachwycona. - Potem ucałowała Mitcha i Joeya.

- Jesteś teraz moim tatą? - spytał chłopiec.

- Będę twoim ojczymem.

- I zostaniemy tu na zawsze?

- Tak, na zawsze.

- Będę miał kucyka?

- Wiedziała - roześmiała się Ginny. - Omówimy to potem.

I coś jeszcze, gdy zostaną sami.

- Życzę szczęścia - rozpromieniła się Rosita.

- Mój Boże, konieczna jest wielka narada - stwierdziła podekscytowana Emaline. - Ginny, Mitch, Rosita i ja musimy omówić sprawę ślubu. Ślub w ogrodzie, jak sądzisz? A może w kościele? Och kochanie, pewnie wolałabyś na Florydzie?

- Udzieli go nam sędzia pokoju - wtrącił Mitch.

- To ślub Ginny i ona powinna decydować - stanowczo oznajmiła Emaline.

- Tak samo jak mój - zaprotestował Mitch.

- Wiem, kochany, ale twój drugi. Jej dopiero pierwszy.

- I jedyny, mam nadzieję - mruknęła. Wiedziała, że najpierw musi dojść do ładu z Mitchem. Czy chodziło o to, że ślub z Marlisse odbył się w kościele i stąd pomysł z sędzią pokoju? Nie chciała, by przeszłość kładła się cieniem na jej przyszłym małżeństwie. Muszą jak najszybciej porozmawiać na osobności. - Najpierw podejmiemy decyzję, potem

powstanie szczegółowy plan. Mitch dopiero mi się oświadczył i jest tysiąc spraw do omówienia. Dajcie nam się zastanowić.

- Doskonale, ale mamy czerwiec, a letnie śluby są takie uroczne - powiedziała Emaline.

- Mogę mieć psa? - Joey uznał, że zdarza się świetna sposobność, by utargować swoje.

- Zobaczymy - rzekł Mitch.

- Tak! - Gdy Mitch z uniesioną brwią spojrzał na Ginny, dodała: - To jedyna rzecz, której jestem pewna.

Mitch wstał i przeprosił, że musi iść do biura. Pogłaskał i pocałował policzek Ginny.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała.

- Po kolacji, kiedy zostaniemy sami.

- Brzmi nieźle. - Serce zabiło jej mocniej po tym pocałunku. Jakby byli starym, dobrym małżeństwem. Jest najszczęśliwszą kobietą na ziemi! Przez kilka godzin będzie myślała tylko o tym, odsuwając na bok wątpliwości.

Gdy najedzony i wykąpany Joey leżał już w łóżku, Ginny porozmawiała z nim o zmianach, jakie nastąpią w ich życiu. Malec zgodził się zrezygnować z oceanu, o ile w zamian dostanie psa i kucyka, a kiedyś pojedzie na spéd.

Ginny spadł kamień z serca. Joey bez żalu zrezygnował z Florydy, a targował się, bo taką miał naturę. Martwiła się o co innego. Jej syn bardzo polubił Mitcha i już widział w nim swojego ojca, jednak czy działało to również w drugą stronę?

Gdy Joey zasnął, Ginny poszła szukać Mitcha. Była bardzo niespokojna. Jak przebiegnie ta rozmowa?

Mitch był w gabinecie. Przystanęła w drzwiach, by spojrzeć na ukochanego mężczyznę. Miał szerokie ramiona, mógłby udźwignąć cały świat, i czarne, gęste włosy. Chciała zanurzyć w nich palce.

Wpatrywał się w fotografię. Zaciekawiona Ginny podeszła do biurka.

Podniósł wzrok.

- Cześć - rzekła cicho, zerkając na zdjęcie roześmianej dziewczynki. - Czy to Daisy?

Skinął głową i podsunął jej zdjęcie. Urocze, promienne, roześmiane dziecko. Ginny poczuła żal, że taka młoda, szczęśliwa istota żyła tak krótko.

- Była piękna i taka promienna. Masz inne zdjęcia?

- Poproś Emaline. Ma je wszystkie. Pokaże ci całą rodzinę. Na pewno zamierza zaprosić wszystkich na ślub.

Ginny przysiadła na skraju biurka.

- Jeśli wystarczy ci ślub u sędziego, nie ma sprawy. - Porzuciła marzenia o białej sukni i ceremonii w kościele po tym, jak zniknął ojciec Joeya. Nie tyle liczył się dla niej ślub, co małżeństwo.

Mitch podał jej rękę. Przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach, przytulając głowę do jej włosów. Zamierzał przebrnąć przez ceremonię. Spojrzał w przestrzeń, trzymając jedną kobietę, a myśląc o innym ślubie. Byli wtedy tacy szczęśliwi z Marlisse, cieszyli się, że tak wiele lat przed nimi. Pamiętał, jak byli radośnie podnieceni, pamiętał ten wesoły rozgardiasz, przekomarzania, żarty.

Ginny zasługuje na ten radosny niepokój i szczęście. Chciał jej dać wspomnienia, którymi będzie się cieszyć przez długie lata.

- Co sądzisz o ślubie w ogrodzie? Emaline zaprosi kilka tysięcy gości i będziemy musieli wydać staroświeckie teksańskie przyjęcie z barbecue.

- Kilka tysięcy? Żartujesz, prawda? - Niepewność w głosie Ginny ujęła go. Utwierdził się w przekonaniu, że podjął właściwą decyzję.

- Znasz Emaline, każdy napotkany człowiek jest jej przyjacielem. No, może nie kilka tysięcy, ale kilka setek na pewno. Jak tylko policzyć kuzynów, rodzinę, mieszkańców

miasteczka i ludzi z biznesu, już robi się tłoczno. Masz przyjaciół, których chcesz zaprosić?

- Niewielu i wątpię, by ich było stać na podróż do Teksasu.

- Na twój ślub wyślemy im bilety lotnicze.

- Za drogo. - Pokręciła głową.

Mitch chciał jej powiedzieć, żeby nie martwiła się o pieniądze. Po latach zmagania z krewnymi i klientami żądnymi zysków, Ginny wniosła świeży powiew w jego życie. Dlatego chciał obsypać ją wszystkim, na co zasługiwała.

Pragnęła serca, kwiatów i wiecznej miłości, a on mógł jedynie zaoferować dom i opiekę nad synem. Miał nadzieję, że to wystarczy. Tymczasem poprosi Helen, by dowiedziała się czegoś więcej o przyjaciółach Ginny i wszystko załatwiła, kiedy ustalą już datę ceremonii.

- Jak szybko chcesz wziąć ślub? - spytał.

- Jutro. Jeśli jesteś tego pewien.

- Czemu miałoby być inaczej?

- Nie wiem. - Bała się spytać, czy ją kocha. A jeśli nie? - Czemu chcesz się ze mną ożenić, Mitch? - spytała cicho.

- To proste i mało oryginalne. By razem spędzić życie.

- Kocham cię, a od ciebie tego nie usłyszałam. Emaline też nic takiego nie powiedziałaś.

- Troszczę się o moją ciotkę.

- A o mnie?

- O ciebie też.

- Co z miłością?

- Lepiej nie wdawajmy się w filozoficzne dyskusje o miłości i innych uczuciach. Pobierzemy się, będę dzielił z tobą życie. Zapewnię wam dom, tutaj dorośnie Joey. Zrobię dla was wszystko.

Ginny poczuła ukłucie w sercu. Ofiarował jej więcej, niż mogła się spodziewać. Czy to mało? Może jednak kocha ją,

tylko nie chce tego powiedzieć? A jeśli tak bardzo zamknął się w sobie, że może ofiarować jej tylko dom? Co powinna zrobić? Przyjąć takie warunki?

- Mitch...

- Emaline ma rację, zrobmy to jak należy. Zaprosimy miasto, przyjaciół, rodzinę i pobierzemy się w ogrodzie. Każę powiększyć trawnik. Jeśli pokryjemy go darnią, będzie gotowy na czas. Co powiesz o pierwszym sierpnia?

- Jeśli tego chcesz. - Przytuliła się do niego. Może mężczyźni nie lubią mówić o uczuciach. Nie musiał przecież prosić jej o rękę. Ale poprosił.

A skoro ona pragnie tego tak mocno, musi się udać.

- Piękna suknia ślubna dla ciebie i nowe ubranko dla Joeya. Żaden garnitur, coś w naszym stylu, co ty na to?

- Będzie zachwycony, zwłaszcza jak ty mu to powiesz. Przeciągnęła dłonią po jego bicepsach. Nie zapomniała ani chwili z Los Angeles. Wkrótce znów czekają ich wspólne noce. Wszystko w porządku. Przecież nie proponowałby małżeństwa, gdyby jej nie pragnął.

- Powinnaś mieć piękną suknię. Na przykład białą.

- Przy czteroletnim chłopcu?

- To nie białą, ale bardzo kobiecą, uszytą specjalnie dla ciebie.

- Zobaczymy.

- Jak rozumiem, to oznacza zgodę.

Ginny odchyliła głowę i popatrzyła na niego. Dotknęła jego policzka. Pochylił się i pocałował ją. Ile potrwa, zanim weźmie ją na górę do łóżka? Potrzebowała czegoś, co rozwiałoby wszystkie wątpliwości.

Następnego ranka Ginny, Emalinę i Rosita spotkały się w kuchni. Ginny i Emaline miały zabrać Joeya na dziesiątą do chirurga. Musiały też uzgodnić, które sklepy warto odwiedzić

i czego tam szukać, skoro data i rodzaj ślubu zostały już ustalone.

W drodze do Dallas Ginny żałowała, że nie jechał z nimi Mitch. Nie dlatego, by go potrzebowała, ale chciała, by wspólnie patrzyli, jak chirurg zdejmuje bandażę i sprawdza, czy oczy Joeya wyglądają normalnie.

Czekała go jeszcze kuracja i szkła korekcyjne, by obie gałki poruszały się zgodnie, ale Joey i tak był zachwycony. Jego dobry nastrój trwał przez całe popołudnie, gdy pod wodzą Emaline przemierzali sklep po sklepie, dostawców i dwie kwiaciarnie w poszukiwaniu najlepszych rzeczy na ślub i wesele.

Przed podjęciem decyzji Ginny chciała jeszcze sprawdzić kilka sklepów w Tumbleweed, choć zarówno ubrania, jak i przekąski oferowane przez firmy cateringowe odpowiadały jej. Natomiast barbecue, zdaniem Emaline, należało przygotować własnymi siłami.

W drodze powrotnej Joey zasnął na tylnym siedzeniu.

Ginny była równie zmęczona, gdy przybyli do domu. Zastanawiała się, skąd czerpie siły niestrudzona Emaline, starsza w końcu o jedno pokolenie. Sama chętnie poszłaby w ślady Joeya, ale nie starczyło już czasu na drzemkę przed kolacją.

Podczas jedzenia Mitch zaproponował, by rano pojechali do Tumbleweed.

- Masz na to czas? - zdziwiła się Ginny.
- Chciałbym, żebyśmy wybrali obrączki.
- Wspaniale! Zastanawiałam się, kiedy na to wpadniesz, siostrzeńcze. Pamiętam, że miałeś pierścionek w kieszeni, kiedy oświadczałeś się Marlisse - powiedziała Emaline.
- Byłem pewien odpowiedzi Marlisse w przeciwieństwie do Ginny - odparł spokojnie Mitch. - Obejrzymy sklepy jubilerskie w mieście. W razie czego pojedziemy do Dallas.

- Jestem pewna, że znajdziemy pierścionek w Tumbleweed. - Ginny była podekscytowana, że Mitch chce kupić jej pierścionek zaręczynowy. A jednak mu zależy, tylko nic nie mówi. Wystarczy jej zwykła złota obrączka. To znaczący sygnał dla świata.

- Zjemy lunch w mieście.

- Żeby to uczcić? Właściwie moglibyście wybrać się na kolację do Dallas. Tam mają lepsze restauracje niż w Tumbleweed - wtrąciła Emaline. - Przypilnuję Joeya. Będziemy nocowali w moim domku, co, Joey?

- Fajnie! - ucieszył się mały.

- Pożyczymy jakiś film, najemy się popcornu, a potem pójdziesz spać na puchowym łóżu dziadka Eli.

- Puchowe łóżo? - zdumiał się Joey.

Emaline opowiedziała o skubaniu gęsi hodowanych przez dziadka i wpychaniu puchu do poszwy. Doszła do momentu, gdy poszwa pękła i wszędzie było pełno pierza. Ginny spojrzała na Mitcha, by wspólnie się pośmiać, ale wydawał się nieobecny, zupełnie nieświadomy opowieści Emaline. Gdy napotkał spojrzenie Ginny, odwrócił wzrok.

- Tak więc mogę liczyć na jutrzejsze towarzystwo Joeya wieczorem? - spytała Emaline, kończąc opowieść.

- Innym razem, jutro ja i Ginny wrócimy wcześniej - powiedział Mitch. Odszedł od stołu, zostawiając prawie pełen talerz.

Kiedy Joey był już w łóżku, a Emaline wróciła do domu, Ginny zeszła do gabinetu. Mitch odpoczywał tam codziennie po kolacji. Czy zachowa ten zwyczaj po ślubie, czy też wspólnie będą spędzać wieczory?

- Nie przeszkadam? - spytała.

- Skądże. - Mitch wyłączył komputer. - Sprawdziłem pocztę elektroniczną. Równie dobrze mogę to zrobić rano.

Opowiedz mi dokładnie, co powiedział lekarz. Jakie są rokowania?

Usiadła na krześle obok biurka i opowiedziała mu o swoim dniu, potem spytała, jak minął jego. Przez chwilę kwitła konwersacja.

Kiedy temat się wyczerpał, Ginny chciała zadać Mitchowi mnóstwo pytań, ale się zawahała. Tak wiele pragnęła o nim wiedzieć. Oczywiście na uzyskanie odpowiedzi miała niemal całe życie, ale chciała poznać je natychmiast.

Oparła głowę o tył krzesła, ciesząc się, że tak dobrze im się rozmawia. Może inne pytania też uda się jej zadać bez tremy.

- Zmęczona?

- Odrobinę. Emaline ma więcej energii ode mnie. Odwiedziliśmy połowę sklepów w Dallas, a ona zaliczyłaby pozostałe, gdyby czas pozwolił.

Mitch wstał i podszedł do niej.

- Chodźmy do łóżka - powiedział.

Ginny dojrzała w jego wzroku czyste pożądanie.

- Z rozkoszą - odparła po prostu.

Kiedy Ginny obudziła się następnego ranka, Mitch już wyszedł. Mimo to czuła się szczęśliwa i spełniona.

Gdy skończyli się kochać, omawiali tysiące spraw, jak na przykład umieszczenie Joeya w przedszkolu i kto będzie odwoził go na przystanek przy autostradzie. Albo o tym, że jeśli Ginny chce, może zmienić wystrój całego domu. O tym nawet nie marzyła.

Przypomniała sobie, że mają jechać do Tumbleweed po pierścioneł. Wręcz promieniała szczęściem. Jaki wzór Mitch zaproponuje? Nie miał pretensjonalnego gustu, więc pewnie zgodzą się na coś prostego.

Czy on też będzie nosił obrączkę? Chciałaby tego. Pragnęła, żeby cały świat wiedział, że Mitch jest jej!

Resztę poranka spędziłaby w łóżku, marząc o wspólnym życiu, ale musiała wstać. Niebawem obudzi się Joey i zacznie zastanawiać się, czemu mamy nie ma w jej pokoju.

Najwyższa pora, by się przyzwyczajał, że po ślubie będzie spała z Mitchem.

Po wzięciu prysznic i przebraniu się, poszła do synka. Wolałaby ubrać się w coś innego, ale dzinsy muszą wystarczyć. Kostium z Los Angeles był zbyt strojny jak na Tumbleweed, a nie przywiozła niczego innego z Florydy.

Około dziesiątej Ginny zaczęła się denerwować. Po raz pierwszy ktoś poza najbliższą rodziną dowie się o rychłym ślubie Mitcha. Jak przyjmą to przyjaciele i sąsiedzi? Wszyscy znali jego pierwszą żonę i córkę i nie obejdzie się bez porównań. Ginny chciałyby wiedzieć coś więcej o Marlisse i jak wyglądał tamten ślub.

Nie bądź głupia, mitygowała się. Poprosił mnie o rękę, nie pytając innych o zgodę. To nasza sprawa, nic nikomu do tego.

Wchodząc do sekretariatu, uśmiechnęła się do Helen. Drzwi do gabinetu były zamknięte.

- Czy Mitch jest gotów?

- Chyba tak. Powiedział mi, że wyjeżdża na cały dzień. Wczoraj nie miałam okazji złożyć najlepszych życzeń. Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi. - Włączyła interkom i powiadomiła Mitcha, że przyszła Ginny.

- Jedziemy kupić obrączki. - Ginny starała się być uprzejma.

- Wiem, mówił mi o tym. Wybierz grubą, stać go na to. Ginny zagryzła wargi. Cóż, nie wszyscy muszą być mili.

- Gotowa? - Mitch otworzył drzwi.

- Tak, jak najbardziej. - Ginny uśmiechnęła się, czując ten sam dreszcz co zwykle na jego widok.

- Hellen, wrócimy późnym popołudniem.

Miał na sobie dzinsy. Czy zrobił to specjalnie, by Ginny nie czuła się skrepowana? Mitch bywał autorytatywny, zarazem jednak zdumiewająco domyślny. Skomplikowany facet, pomyślała.

Przed wjazdem do miasta spytała, czy będzie nosił obrączkę.

- Jeśli tego oczekujesz.

Chciała spytać, czy nosił ją przy Marlisse, ale nie mogła się na to zdobyć. Zresztą to bez znaczenia. To jest ich ślub, ich decyzje.

Jubiler zdumiał się, słysząc żądanie Mitcha. Zerknął na Ginny, która znów poczuła się nieswojo. Jednak zapomniała o wszystkim, gdy sprzedawca rozsypał przed nią mnóstwo pierścionków na czarnym aksamicie. Brylanty zaśniły w świetle.

- Jak ci się podoba ten? - spytał Mitch.

- Ładny.

- To za mało, jak na pierścionek zaręczynowy. Który byś wybrała?

- Ten. - Wskazała na prosty w formie złoty pierścionek z brylantem. Niezależnie od tego, co myślała o niej Helen, Ginny wolała mieć pierścionek, który jej się spodoba, a nie na pokaz. Będzie go nosiła przez całe życie.

Skinął na jubilera.

- Chcemy również obejrzeć obrączki ślubne.

Po krótkiej dyskusji wybrali obrączki z plecionym wzorem.

A jednak Ginny czuła niedosyt. Powinna być głęboko poruszona tym, że wybiera pierścionek zaręczynowy i obrączki, lecz wizyta u jubilera wypadła jakoś blado. Może wpłynęły na to wścibskie spojrzenia sprzedawcy, może brak emocji ze strony Mitcha. Zabrakło radosnego podekscytowania.

No i nie mogła od razu zabrać pierścionka zaręczynowego, bo trzeba go było dopasować do jej szczupłego palca.

Wychodząc ze sklepu, powtarzała sobie, że liczy się małżeństwo, a nie ozdoby.

Mitch zabrał ją do „Cattlemen's Club”, najlepszej restauracji w Tumbleweed. Było w niej pełno ranczerów i miejscowych biznesmenów, ale hostessa znalazła stolik w cichym miejscu. Kiedy szli przez główną salę, wielu gości pozdrawiało Mitcha. Odwzajemniał się im, przedstawiając Ginny.

Kiedy usiedli, spojrzał na nią.

- Wieść zaraz się rozniesie, ale o to przecież chodzi. Zresztą większość z tych ludzi będzie na weselu.

Spojrzała na zatłoczoną salę.

- Rzeczywiście zapowiada się spora impreza. Ginny lekko się spięła, gdy ujrzała Glorię idącą do ich stolika.

- Mitch, kochanie. Nie wiedziałam, że dziś będziesz w mieście. - Obrzuciła Ginny lekceważącym spojrzeniem. - Zabrałeś pomoc biurową na lunch? Jak miło.

Mitch wstał i przywitał się z uśmiechem, lecz Ginny zauważyła, że wzrok miał chłodny.

- Wróciła Helen, Ginny już nie jest moją sekretarką.

- Och? - zdziwiła się Gloria. - To co robisz tu z tobą?

- Ginny i ja świętujemy zaręczyny. Pobieramy się w sierpniu. Oczywiście ty i twoja rodzina otrzymacie zaproszenie.

- Ach tak... - Nie zdołała ukryć złości, która wypełzła na jej twarz. - W takim razie życzę wszystkiego najlepszego. - Grymas, z którym to powiedziała, zapewne miał być uśmiechem.

Gloria szybko wróciła do swojego stolika, a Ginny równie szybko o niej zapomniała. Świątowali zaręczyny i tylko to się liczyło.

Gdy późnym popołudniem wrócili do domu, Mitch od razu poszedł do biura.

- Muszę omówić kilka spraw z Helen. Spotkamy się przy kolacji.

Ginny nie zastała Joeya w jego pokoju. Gdy spytała o niego Rositę, ta odparła z uśmiechem:

- Poszedł do pawiloniku z panią Emaline, by zdrzemnąć się na puchowym łożu. Strasznie go zaciekała opowieść o gęsiach.

Ginny też się uśmiechnęła. To mało znaczące zdarzenie uświadomiło jej, jak wiele zyska Joey po jej ślubie. Wreszcie będzie miał prawdziwą rodzinę. Emaline, Rosita, wszyscy krewni Mitcha...

No właśnie. Co powie rodzina Mitcha na to małżeństwo? Nawet nie widziała jego rodziców. Było się nad czym zastanawiać.

Ginny poszła do pawilonu. Wnętrze oczarowało ją. Wyglądało jak z domku dla lalek, pełne damskich mebli, koronkowych firanek i kolorowych poduszek. Pasowało jak ulał do Emaline.

Na ścianach było pełno zdjęć, niektóre Mitcha, inne nieznanymi jej członków rodziny. Bibeloty zapełniały stoliki i półki, od delikatnych kryształów, przez porcelanę po figurki z drewna.

Emaline z miejsca zaczęła wypytywać Ginny, jakie wybrali obrączki, i była niepokieszona, że Ginny nie miała pierścionka zaręczynowego.

Ponieważ Joey wciąż spał, przeszły do drugiego pokoju na lemoniadę i ciasteczka. Ginny spojrzała na porozwieszane na ścianach fotografie.

- To wspaniałe. Sami krewni? Niektóre zdjęcia mają chyba ze sto lat.

- Nawet więcej. Spójrz, to są moi prapradziadkowie - odparła Emaline, pokazując ubraną na czarno parę o poważnych twarzach. - Mam albumy pełne starych fotografii. Gromadzę je od lat, taki mam rodzinny obowiązek. Kiedyś często zbieraliśmy się razem i oglądaliśmy je godzinami, wreszcie krewni i kuzyni zaczęli oddawać mi zdjęcia, by były w jednym miejscu.

- Mitch mówił, że masz zdjęcia Daisy. Pokażesz?

- Ależ tak. Była słodkim dzieckiem. Nadal nie możemy się otrząsnąć po jej śmierci. - Wyjęła z półki album.

Po chwili Ginny oglądała fotografie uroczej małej dziewczynki, która uśmiechała się promiennie do obiektywu.

Córka Mitcha. Ginny zasepiła się. Jak on to zniósł? Nie wyobrażała sobie, co czułaby, tracąc Joeya.

Natrafiła na zdjęcie Mitcha i wysokiej brunetki. Oboje byli uśmiechnięci. Mitch wyglądał młodziej, był szczęśliwy. To pewnie Marlisse. Ginny przyjrzała się uważniej. Ona i Marlisse były zupełnie inne. Przynajmniej nie żeni się ze mną, ponieważ przypominam pierwszą żonę, pomyślała.

- Chyba słyszę głos Joeya. - Emaline wstała i pospieszyła korytarzem.

Ginny otworzyła następną stronę. Wolą nie porównywać się do pierwszej miłości Mitcha.

Jego jedynej miłości?

Kartkowała album, wodząc po zdjęciach nieuważnym wzrokiem. Usłyszała kroki wracającej Emaline. Nagle serce jej zamarło.

- To ojciec Joeya! - krzyknęła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Och nie, kochanie, to niemożliwe! - Emaline spojrzała na zajmującą całą stronę ślubną fotografię. - To jest Sam, kuzyn Mitcha, Samuel Houston Holden. Jakiś rok temu poślubił Sarę Annę Pembroke, bardzo miłą dziewczynę. Mieszkają w Austin. Jeszcze nie powiększyli rodziny. A włosy ma kasztanowe, nie blond. Czyż nie mówiłaś, że ojciec Joeya był blondynem?

- Włosy ma ciemniejsze, i jeszcze ten wąsik, ale to on. - Ginny była tego pewna. Ta samcza arogancja, sposób noszenia się, trzymanie głowy. Oczy Joeya. To tego mężczyznę pięć lat temu poznała na plaży Fort Lauderdale jako Johna Mitchella Holdena.

Kuzyn Mitcha. Oczywiście, kto inny wiedziałby tyle o Johnie Mitchellu Holdenie, ranczu i członkach rodziny? Ale czemu posłużył się nazwiskiem Mitcha?

- Och, nie wiem, co powie o tym Mitch - powiedziała Emaline.

Ginny wpatrywała się w zdjęcie, czekając, aż coś poczuje. Nie czuła nic. Ani bólu, ani żalu. Wszystkie uczucia, jakie żywiła do tego człowieka, zniknęły bez śladu. Kochała bezgranicznie Mitcha. Patrząc na twarz Sama, odnosiła wrażenie, że ledwie go pamięta. Nie było dla niego miejsca w jej życiu ani w życiu Joeya. Była wolna, jego urok przestał działać. Spojrzała na Emaline.

- Nie mów mu nic. Nie musi nic wiedzieć.

- Ależ musi, kochanie. W przeciwnym razie zaprosi Sama na ślub i powstałaby niezręczna sytuacja. Poza tym chciałabyś coś takiego ukrywać przed mężem?

Ginny ponuro skinęła głową. Nie mogła wejść do rodziny, dopóki Mitch nie pozna prawdy. Czy to zniszczy jego stosunki z kuzynem? I najważniejsze, czy ich związek przetrwa po

takich rewelacjach? Czy Mitch będzie ją kochał, wiedząc, że kiedyś straciła głowę dla jego kuzyna?

- Masz rację. Mitch musi się dowiedzieć.

Chciała przed snem o wszystkim poinformować Mitcha, lecz Emaline ją uprzedziła. Ginny domyśliła się tego ze sposobu, w jaki Mitch podczas kolacji patrzył na Joeya, a także z wyjątkowo mrukliwego nastroju. Nawet Emaline wydawała się zgaszona. Rosita, podając do stołu, zerknęła na nich ciekawie, jednak z uwagi na Joeya nikt nie nawiązał do sprawy, która wszystkich frapowała.

Po kolacji Ginny najpierw położyła Joeya spać, a potem poszła do gabinetu Mitcha. Od pewnego czasu tak działo się każdego wieczoru, ale dzisiaj mieli szczególny temat do omówienia.

Przed drzwiami gabinetu usłyszała, że Mitch z kimś rozmawia. Był wściekły, w jego głosie pobrzmiwała pogarda zmieszana z agresją.

- ...ale się domyślam. Do cholery, nie jestem idiotą! Twoje prostackie sztuczki wreszcie wyszły na jaw. I co z tego, że minęło już pięć lat? Utleniłeś włosy i wyjechałeś na Florydę, podczas gdy twoja matka i ja byliśmy pewni, że wkuwasz, żeby nadrobić zaległości. Podszylę się pode mnie, więc się nie wydało. Powinienem cię zatłuc, że wycierałeś sobie gębę moim imieniem. I skąd miałeś pieniądze na ten wyjazd? Kogo naciągnąłeś na forszę? - Mitch słuchał przez chwilę. - Ach tak... Sprytne, całkiem sprytne, i chamskie jak diabli. Sam, nigdy nie miałem o tobie zbyt wysokiego mniemania, ale w tej sprawie... Cholera, czy choć raz zastanawiałeś się nad konsekwencjami swoich czynów? - Chwila przerwy. - Do diabła, Sammy, jak umarł twój ojciec, kompletnie przestałeś liczyć się z czymkolwiek. Swoimi wybrykami wciąż doprowadzasz matkę do rozpacz, ale nic

cię to nie rusza, tylko czekasz, aż inni, a najczęściej ja, wyciągną cię z kłopotów. - Znów cisza.

- Myślałem, że po ślubie wreszcie spoważniejesz, zresztą składałeś solenne obietnice, a tu znowu się dowiaduję, że zrobiłeś kolejną głupotę. - Słuchał przez chwilę. - I ty nazywasz siebie królem życia?! Jesteś wyrośniętym gówniarzem, a nie królem życia! - Mitch prawie przestał panować nad sobą. - Możesz czarować innych, udawać Bóg wie kogo, ale to krótka aria. Po jakimś czasie każdy się zorientuje, co naprawdę jesteś wart. Chyba że wcześniej uciekniesz jak szczur. Tak samo jak przed pięciu laty.

- Cisza. - Tak, znów wracam do tej nieszczęsnej Florydy. I nie chodzi o to, że okłamałeś mnie i matkę, a Emaline naciągnąłeś na forszę, by spędzić miłe wakacje zamiast się uczyć. Sprawa jest dużo poważniejsza. - Mitch przerwał na chwilę. - Efekt tych miłych wakacji właśnie przebywa w moim domu. Razem ze swoją matką. Pamiętasz ją? Ginny Morgan. Śliczna blondynka o fantastycznej figurze.

Ginny nawet nie zwróciła uwagi na ten komplement, Była głęboko wzburzona. Dlaczego Mitch, zamiast najpierw z nią porozmawiać i ustalić wspólny front wobec Sama, od razu zadzwonił do niego? Jakby jej zdanie nie miało znaczenia. Cóż, stało się, ale na przyszłość musi to ulec zmianie. Znów zamieniła się w słuch.

- Twoja matka i ja płaciliśmy za twoje studia, goniliśmy cię do roboty, no i wreszcie zostałeś magistrem, choć nie ma z tego żadnego pożytku. Natomiast Ginny, choć bardzo tego chciała i na pewno byłaby świetnym fachowcem, musiała zrezygnować z wszelkich ambicji i zostać kelnerką, by utrzymać twojego syna. - Chwila ciszy. - To bardzo w twoim stylu. Powinna jej pomóc ciotka... Nie ty, ale ciotka. Niestety ciotka zmarła i Ginny została sama. Harowała w restauracji i opiekowała się Joeyem. Jest wspaniałą matką, ale co przeżyła,

to jej. Zrezygnowała z nauki, pracowała za marne grosze, samotnie borykała się z losem. A ty zmyłeś farbę z włosów, wróciłeś do swojego imienia i ruszyłeś na dalsze łowy. Teraz znów dowiaduję się, że masz kłopoty, i oczywiście prosisz mnie o pomoc. Żałosny król życia... Jesteś pętkiem, Sammy. Mam cię po dziurki w nosie. Zaczynaj wreszcie odpowiadać za siebie. Nie wiem, co zamierzasz, ale na mnie już nie licz. Nie będę dłużej naprawiał twoich błędów. Obecnych i dawnych.

Ostry ton w głosie Mitcha wywołał ciarki na plecach Ginny. Miała nadzieję, że Mitch nigdy się tak na nią nie rozgniewa.

Nagle wzdrygnęła się. Czy to właśnie robił? Naprawiał błąd? Dlaczego? Dla Joeya? Przez pamięć Daisy? Na pewno nie dlatego, że ją kochał. Nigdy jej tego nie powiedział, a teraz nie wspomniał kuzynowi o ich ślubie. Zamiast tego zażądał, by tamten stał się odpowiedzialny i uwolnił go od trosk. „Nie będę dłużej naprawiał twoich błędów. Obecnych i dawnych”.

Czy żyła w kłamstwie?

Nic dziwnego, że nie mogła uwierzyć w miłość Mitcha. Nie kochał jej i zawsze o tym wiedziała w głębi duszy.

Ginny cicho się wycofała. Mitch nie może się dowiedzieć, że podsłuchiwała jego rozmowę. Wróciła do swego pokoju. Czowała się stara, zmęczona i tak zobojętniała, że nie mogła myśleć o przyszłości. Było coś w tym, że nie dostała dziś pierścionka. Nie należał się jej...

Mitch nie ogłosił oficjalnie ich zaręczyn. Pewnie miał nadzieję, że wszystko da się odkręcić. Czyżby się spodziewał, że Sam zabierze ją i Joeya? Ale przecież Sam ma żonę.

Usiadła na łóżku. Była zbyt wstrząśnięta, by płakać, i tylko wpatrywała się suchymi oczyma w ciemność. Co powinna teraz zrobić?

Ona i Joey nie mogą tu zostać, zwłaszcza odkąd dowiedziała się, że Mitch tak naprawdę jej nie kocha i nie

zamierza się z nią ożenić. Muszą wrócić na Florydę. Im szybciej, tym lepiej. Wszelkie inne plany nie mają sensu, bo ślub i tak się nie odbędzie.

Wyjadą z samego rana.

Mitch delikatnie zapukał w drzwi. Ginny ani drgnęła. Nawet jeśli zajrzy, w pokoju jest ciemno i pomyśli, że poszła spad. Po chwili usłyszała, jak odchodzi.

Zegnaj, zawołała za nim bezgłośnie. Żegnaj moja miłości.

Ginny spała smacznie przez całą noc. Gdy świt rozjaśnił niebo, wzięła prysznic i ubrała się. Potem szybko się spakowała. Tylko o tej porze nikt nie stanie w drzwiach, prosząc, żeby została.

Omam nie rozplakała się, przypominając sobie, jaka była szczęśliwa, gdy Mitch poprosił, by za niego wyszła.

Dlaczego nie zorientowała się, że to była trzecia propozycja? Najpierw oferował jej pracę, potem chciał opłacić studia. I wreszcie ślub. Wciąż nie rozumiała, czemu chciał się z nią ożenić. Szkoda, że nie posłuchała swego instynktu, który mówił, że coś jest nie tak.

Zauważyła to, gdy kupowali obrączki. Jednak chciała tego tak bardzo, że nie zwracała uwagi na oczywiste znaki. Tak jak pięć lat temu, gdy ciocia Edith prosiła ją, by była ostrożniejsza. Gubiła ją naiwność i entuzjazm. Może tym razem wyciągnie właściwe wnioski.

Jej samochód stał za domem. Gdy usłyszała, że Joey wstał, ubrała go i wysłała na śniadanie. Rosita uwielbiała go rozpieszczać. Niech nakarmi go przed wyjazdem. Gdy mały zszedł na dół, szybko spakowała jego rzeczy.

Napisała krótki list i zostawiła go w gabinecie, gdzie Mitch na pewno go znajdzie. Zapewniła, że zwróci koszty operacji i podziękowała za wszystko, co dla nich zrobił.

Zniosła walizkę i torbę do samochodu i schowała do bagażnika, żeby nikt ich nie zauważył.

Dołączyła do Joeya przy śniadaniu i ciepło pogwarzyła z Rositą. Szczególnie chwaliła jej talenty kulinarne.

- Dziękuję. Jeśli coś było nie tak, proszę powiedzieć. Kobiety zwracają większą uwagę na prowadzenie domu niż mężczyźni. Teraz pani tu będzie rządzić. Mam nadzieję, że mnie pani zatrzyma.

- Prowadź dalej dom, wszystko zostanie po staremu. - Tylko Ginny wiedziała, jak prawdziwe są jej słowa.

Po śniadaniu zabrała Joeya na dwór.

- Musimy porozmawiać, Joey. I musimy przejechać się naszym samochodem.

- Dobrze.

Wydostała dziecięcy fotelik z limuzyny Mitcha, drżąc, by nikt jej nie zobaczył, ale na ranchu panowała cisza. Kowboje byli w terenie, a Mitch i Helen w biurze po drugiej stronie domu. Emaline nie pojawiała się na ogół przed lunchem.

Ginny będzie jej brakowało. Żałowała, że nie mogła się pożegnać, ale było to zbyt ryzykowne. Napisze do niej i przypilnuje, by Joey dołączył jakiś rysunek.

Gdy jechali podjazdem, Ginny starała się ze wszystkich sił panować nad uczuciami. Ucieczka od mężczyzny, którego kochała, była najtrudniejszą decyzją w jej życiu.

Zanim zatrzymali się na nocleg, Ginny była bliska załamania. Kiedy smutny, zdezorientowany i nieszczęśliwy Joey zasnął, poszła pod prysznic i płakała, dopóki nie zaczęła lecieć zimna woda. Włożyła nocną koszulę i padła na łóżko. Nie chciała wyjeżdżać, ale nie mogła znieść myśli, że mogłaby żyć z mężczyzną, który jej nie kocha. O ile w ogóle doszłoby do ślubu... Uznał ją za kłopot, za błąd, który należy naprawić. Zrównał ją z nieodpowiedzialnym Samem. A ona nie chciała być ciężarem. Woląca usychać z rozpacz, niż tak się poniżyć.

Rano wstała rozklejona i załamana. Miała zaczerwienione od płaczu oczy i była kompletnie pozbawiona energii. Jednak upór zwyciężył.

Parła na wschód, nieczuła na prośby Joeya, by wrócili na ranczo. W kółko tłumaczyła mu, że muszą jechać do domu, ale był niepokieszony. Chciał do Mitcha, do Emaline, pragnął bawić się z psami i żrebakami. Miał uczyć się jeździć i dostać własnego kucyka. Zostać kowbojem.

Przejechała Luizjanę, Missisipi i Alabamę, głucha na płaczliwe prośby syna i własnego serca. Może powinna była zostać? Lepiej mieć pół niż nic. Nawet jeśli Mitch jej nie kocha, czy nie wystarczy miłość, którą ona żywi do niego?

Kolejna przepłakana noc, i Ginny była gotowa zrobić wszystko, o co prosił ją Joey i czego sama pragnęła. Wreszcie przekupiła syna. Jeśli przestanie mówić o ranczu i jego mieszkańcach oraz domagać się powrotu, w domu natychmiast dostanie szczeniaka.

Pomogło. Szkoda, że myśl o sympatycznym psiaku wcale jej nie ukoїła.

W dodatku jak na złość samochód popsuł się zaraz po przekroczeniu granicy Florydy. Po dniu oczekiwania na części Ginny rwała włosy z głowy. Pragnęła jedynie zacisza swego mieszkania. Gdy znów ruszyli w drogę, rozpadało się, więc musieli zamknąć okna, a że klimatyzacja nie działała, duchota stała się nie do zniesienia. Kiedy po tygodniu dotarli wreszcie do Fort Lauderdale, Ginny była wykończona. Marzyła tylko o prysznicu i śnie. Jutro wszystko poukłada i zaplanuje.

Łzy znów popłynęły, gdy wspomniała plany, które snuła wspólnie z Mitchem. Odsunęła je od siebie.

Najpierw zadzwoni do Maggie. Przyjaciółka pomoże, A kiedy wróci do pracy i wciągnie się w ustalony rytm, szybko zapomni o Mitchu Holdenie i jego obietnicach.

Zaparkowała na swoim miejscu. Znowu muszą wysiadać w deszczu. Znowu nie ma parasola. Nieważne. Bagaże wyjmie potem, byle jak najszybciej znaleźć się w mieszkaniu.

Gdy uciekając przed deszczem, szybko zbliżali się do drzwi frontowych, Joey wyrwał się jej i pognął przed siebie, krzycząc:

- To Mitch! Przyjechał po nas!

GINNY stanęła jak wryta. Zapomniała o deszczu. To naprawdę był Mitch.

Podniósł się z górnego schodka i chwycił Joeya w niedźwiedzi uścisk.

- Siema, partner. Wszystko w porządku? - Wzrokiem szukał Ginny.

Powoli szła naprzód. Co, u licha, on tu robi? Serce głośno waliło. W głowie miała zamęt. Mitch tutaj?! Chciała pobiec, rzucić mu się w ramiona i zostać w nich na zawsze. Przeważała ostrożność. Nie zmieni podjętej decyzji, nie ugnie się.

- Tęskniliśmy, Mitch. Ale mama obiecała mi szczeniaka, którego będę trzymał w domu. Mógłby mieszkać w twoim? Chciałem, żeby spał ze mną w łóżku, ale powiedziała, że musi zostać na podłodze. Ale będzie mógł wejść do środka? - Joey tokował jak Emaline.

- Zobaczymy. - Mitch postawił Joeya na ziemi i wpatrywał się w nadchodzącą Ginny.

- Co tu robisz? - Wciąż nie wierzyła własnym oczom.

- Może zaczniemy od najważniejszego. - Objął ją i mocno pocałował.

Kiedy skończył, nie wiedziała, czy się gniewać, czy cieszyć. To wszystko było takie niezwykle. Deszcz, odgłosy burzy, łopot serca - i ten pocałunek.

- Miałaś kłopoty z samochodem?

- Normalka.

- Jestem tu od dwóch dni. Wyliczyłem, że będziesz wcześniej, o ile nie zdarzy się awaria. Martwiłem się, że jedziesz tym autem.

- Wszystko w porządku. Po co przyjechałeś?

- Bo ty tu jesteś.

- Zostawiłam ci wiadomość.

- Nie sądzisz, że zasługuję na coś więcej? Mamy się pobrać, Ginny. Mogłabyś się bardziej postarać.

Deszcz bębnił o chodnik. Pachniał mokry asfalt.

- Przemokniemy. - Znów mówił o ślubie... Spojrzała na niego niepewnie.

- Więc mnie zaprosz.

Tyle przynajmniej mogła dla niego zrobić. Swoisty rewanż za to, jak on przyjął ją do siebie podczas burzy. Bała się jednak rozmowy, która ich czekała. Mitch nie odpuści, zażąda szczegółowych wyjaśnień. Miała nadzieję, że nie zrobi z siebie kompletnej idiotki, bredzącej coś o nieodwzajemnionej miłości.

Kiedy tylko weszli do mieszkania, wiedziała, że to był błąd. Mitch wypełniał całą przestrzeń. Rozejrzała się. Mieszkanie było czyste, choć nieco zatechłe po długim zamknięciu. Jednak gdzie mu było do rezydencji Holdenów na ranczu.

- Przebierz się w suche rzeczy - poleciła Joeyowi. Pobiegnął do swego pokoju. Miała nadzieję, że wybierze coś odpowiedniego, a nie na przykład kąpielówki i sweter. Odwróciła się, przeczesując ręką mokre włosy.

- Też powinnaś się przebrać - powiedział Mitch.

- Nic mi nie będzie.

- Przeziębisz się. Mamy czas, nigdzie się nie wybieram.

Brzmiało to poważnie.

- A ty? - ociągała się.

- Wątpię, żebym znalazł tu coś w moim rozmiarze. Podała mu ręcznik i poszła do swego pokoju, by się przebrać. Była bardzo zdenerwowana. Po co przyjechał Mitch? Myślała, że wszystko wyjaśniła mu w liście.

Wyglądał wspaniale. Chciała zapomnieć się w jego ramionach, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Musi o tym pamiętać.

Gdy wróciła do salonu, półnagi Mitch spokojnie siedział na krześle. Zdjął moką koszulę, bo bez niej było mu na pewno cieplej.

Nie mogła się powstrzymać, by nie patrzeć na jego szeroki tors. Najchętniej przywarłaby do ciepłych, silnych mięśni, przeczesała palcami gęste włosy i oparła głowę na jego ramieniu.

Wyjął zmięty świstek papieru. To był jej liścik.

- Myślałam, że to wyjaśnia wszystko.

- A więc skoro wiesz, kim jest ojciec Joeya, oczekujesz jakiegoś zadośćuczynienia?

- Oczywiście, że nie. - Jak w ogóle coś takiego mogło mu przyjść do głowy? Czyż nie powtarzała mu setki razy, że go kocha? A on milczał. I w tym tkwił problem.

- Ale zmieniłaś zdanie w sprawie małżeństwa. Skinęła głową.

- Czemu?

- Wyjaśniłam w liście.

- Że będzie lepiej, jak każde pójdzie swoją drogą?

- Jestem bardzo wdzięczna za to, co zrobiłeś dla Joeya...

- Do licha z wdzięcznością! - gwałtownie wpadł jej w słowo. - Nie chcę jej.

- Tak samo jak nigdy nie chciałeś mojej miłości. Byłam dla ciebie tylko dużym kłopotem, który trzeba jakoś rozwiązać.

- Nie.

- Miałam długą drogę na rozmyślania. Czy pamiętasz, jak poprosiłeś mnie o rękę?

- Oczywiście.

- To było trzecie wyjście.

- Co proszę?

- Trzecie wyjście. Najpierw proponowałeś mi pracę, potem studia. Kiedy nie poskutkowało, oświadczyłeś się.

- Nie chciałem, żebyś wyjeżdżała.

- A ja nie chciałam rywalizować z duchem - powiedziała bez ogródek.

- O czym ty mówisz? - Przeczesał ręką włosy i zmarszczył czoło. Wiedział, że Ginny miała rację.

- Nadal nie wiem, czemu poprosiłeś mnie o rękę, skoro mnie nie kochasz. Kochasz Marlisse. Zawsze tak będzie, a ja nie chcę grać drugich skrzypiec.

Przemierzył pokój w trzech krokach i wziął ją w ramiona, jakby bał się, że znów ucieknie.

- Nigdy nie będziesz grała drugich skrzypiec. Marlisse nie żyje. Tak, kochałem ją. I zawsze będę ją kochać. Ją i Daisy. Nigdy się tego nie wyprę, bo musiałbym wyprzeć się samego siebie. Tak samo ty nadal kochasz swoją ciotkę, choć też nie żyje. - Przerwał na chwilę, był bardzo poruszony. - Ale nie jestem już zakochany w zmarłej żonie. Wiedziałem to, odkąd pojawiłaś się w moim świecie. Sama mówiłaś, że życie idzie naprzód. Bo tak jest. Daje nową szansę, pozwala planować przyszłość. - Przez chwilę patrzył głęboko w oczy Ginny. - To ty jesteś tą nową szansą na przyszłe dni i lata. Pragnę, byśmy we troje, ty, Joey i ja, stworzyli rodzinę, pragnę, by twój... nasz syn miał rodzeństwo. Urzekłaś mnie, odrodziłem się dzięki tobie. Marlisse nie żyje i nic tego nie zmieni. A ja żyję. Kiedy odeszłaś... - Zawahał się, patrząc jej w oczy. - Wiedziałem, co stałoby się ze mną, gdybyś nie wróciła. Nie

zniósłbym tego, Ginny. Potrzebuję cię, pragnę, jesteś po prostu częścią mnie.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, że mnie kochasz. - To tak bardzo bolało. I bała się, że znów, jak przed pięciu laty, ulegnie gładkim słówkom. A za jakiś czas się obudzi i...

Odwrócił wzrok, puścił ją i skrzyżował ramiona. Potem nieśmiało spojrzął Ginny w oczy.

- Wiem. Żałuję. Nie wiedziałem.

- Czego?

- Do diabła, nie wiedziałem, jak bardzo cię kocham, dopóki nie wyjechałaś! To było gorsze od śmierci Marlisse. Ta śmierć była dziełem przypadku, nie można jej było zapobiec. Stało się i koniec. Kiedy odeszłaś, zrozumiałem, jak będzie wyglądało moje życie bez ciebie. Bez twego optymizmu i pogody ducha, bez twojej mądrej odwagi i naiwnego, poetyckiego zadziwienia nad światem, bez twego śmiechu, bez twojej miłości. To był bardzo czarny obraz. A tym razem nikt nie umarł. Ty i ja wciąż żyjemy. Zastanawiałem się, jak mogę cię odzyskać. Tym razem fatum nie zwycięży. Należymy do siebie, Ginny. Kocham cię tak mocno, że wprost niepojętym mi się zdaje, byś nie została moją żoną. Jeśli nie spędzisz ze mną reszty życia, nie wiem, co zrobię. Nie potrafię istnieć ze świadomością, że jesteś gdzieś beze mnie. Wróć. Daj mi jeszcze jedną szansę, nie zawiodę cię. Codziennie będę ci powtarzał, jak bardzo cię kocham.

Serce Ginny biło jak oszalałe. Ziściły się jej nadzieje. Wyciągnęła ręce i dotknęła chłodnej skóry Mitcha.

- Naprawdę mnie kochasz?

- Ależ tak, najdroższa, bardzo cię kocham. Nade wszystko w świecie! - Objął ją i pocałował.

Czuła się tak cudownie. Ze szczęścia chciało jej się śmiać i płakać.

W tym momencie do pokoju wszedł Joey. Mitch usłyszał go i powoli przerwał pocałunek. Spojrzał na chłopca.

- Dlaczego całujesz moją mamę?

Mitch wyciągnął rękę, Joey podszedł bliżej. Mitch pochylił się, wziął malca na jedno ramię, drugim otoczył Ginny.

- Bo to robią tatusiowie i mamusie.

- Nareszcie! Nareszcie zostałeś moim tatą! - Joey uśmiechnął się promiennie.

- I tak będzie już zawsze. - Mitch też się uśmiechnął szeroko.

A Ginny, jak to kobieta, zachlipała cichutko, choć w sercu czuła wielką radość.

EPILOG

To było wielkie wydarzenie. Świeżo upieczeni absolwenci przeciskali się przez tłum, szukając krewnych i znajomych. Gorące czerwcowe słońce sprawiało, że odziani w uroczyste togi biedacy woleliby przenieść uroczystość na grudzień.

Ginny bez trudu zauważyła Mitcha, bo był najwyższym mężczyzną w tłumie. Pomachała do niego. Podchwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się. Szedł w jej kierunku, niosąc na rękę małą Emmę. Joey maszerował dumnie u jego boku. Emaline szła z tyłu, korzystając z okazji, że Mitch torował drogę w tłoku. Włożyła różową suknię z organdy i szeroki kapelusz z rondem udrapowanym wstążką.

Mitch pierwszy dopadł Ginny.

- Niech żyje nasza absolwentka college'u! - Pocałował ją. Emma zapłakała, więc Ginny wzięła ją na ręce. O drugiej mała była senna i zaczynała marudzić.

- O nie - powiedział Mitch, z powrotem biorąc córeczkę. - Jeszcze mi się pogubicie w tym tłumie. Zostajesz z tatą.

Joey uściskał mamę.

- Jak dorosnę, też chcę być absolwentem. - Miał już dziewięć lat i był prawie wzrostu Ginny.

Pocałowała go w policzek.

- Na pewno nim zostaniesz.

- Boże, co za tłum! - Emaline wreszcie się dopchnęła i ucałowała Ginny. - Dobrze się czujesz? W taki upał chciałabym napić się lemoniady i usiąść w cieniu. Nie byłaś jedyną ciężarną absolwentką, widziałaś tamte dwie? Ta ciemnowłosa to strasznie wielka tyka.

Ginny uśmiechnęła się i położyła dłonie na brzuchu. Za tydzień powinno nastąpić rozwiązanie. Szczęśliwie dziecko było na tyle uprzejme, że pozwoliło mamie wziąć udział w ceremonii rozdania dyplomów.

- Jesteś gotowa wracać do domu? - Mitch zaczął torować drogę do wyjścia.

Dom. Ranczo Holdenów, gdzie pobrali się przed pięciu laty. To miejsce na zawsze pozostanie magiczne, bo tam jest Mitch.

Adoptował Joeya wkrótce po ślubie i był cudownym ojcem. Chłopiec bezwzględnie mu ufał i wzorował się na nim, co dawało świetne rezultaty. Ginny czasami bywała zazdrosna o ich męskie tajemnice, ale wiedziała, że tak musi być. I że jest wspaniale.

Spojrzała na Emmę, ich kochaną dziewczynkę. Urodziła się przed dwoma laty. A teraz kolejne dziecko, które nosiła pod sercem, niebawem przyjdzie na świat.

Mitch nie zapraszał Sama na rodzinne uroczystości, odkąd dowiedział się, jaką rolę odegrał w życiu Ginny. Do tej pory był wściekły, że kuzyn na jego rachunek grasował po Florydzie, udając wielkiego farmera, i że cynicznie uwiódł niewinną dziewczynę. Zresztą lista grzechów Sama była dużo dłuższa i wciąż się powiększała. Tylko przez wzgląd na jego matkę Mitch całkowicie nie wypędził go z rodziny, choć trzymał Sama na jej peryferiach.

Natomiast pozostali Holdenowie, a było ich mrowie, przyjęli Ginny i Joeya z otwartymi ramionami. Tak jak marzyła, znalazła rodzinę, której przez długie lata bardzo jej brakowało.

Kiedy limuzyna ruszyła, Mitch zerknął na żonę.

- Cieszę się z twojego dyplomu, a także z tego, że nie będziesz już musiała jeździć do Dallas. Codziennie martwiłem się o ciebie.

Poklepała go przyjacielsko po ramieniu i uśmiechnęła się promiennie.

- Wiem, ale zawsze uważam. Historia się nie powtórzy. - Wiedziała, dlaczego dręczył go lęk. Wspomnienie tamtej

straty wciąż było żywe. Mitch dobrze wiedział, co to znaczy stracić kogoś, kogo się kocha. Ginny starała się rozwiać te obawy i szło jej całkiem nieźle. Przewidywała, że ostateczny sukces odniesie za jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat.

Zdumiewające było to, jak bardzo ją kochał. Przez ostatnich pięć lat ich miłość wciąż kwitła. Pukając do jego drzwi w tamten deszczowy dzień, nie wiedziała, że jej życie tak cudownie się odmieni. Chciała tylko zdobyć pieniądze na operację Joeya, a zyskała tyle szczęścia, że wprost nie potrafiła objąć tego rozumem.

No i wybaczyła Samowi, bo dzięki niemu znalazła prawdziwą miłość.

Spotkali się z Mitchem wzrokiem.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zostaniemy sami - szepnął jej do ucha.

- To właśnie w tobie kocham - odparta z uśmiechem promiennym jak słońce Teksasu.

- Cieszę się...

- A wszystko zaczęło się od tego, że zapragnąłeś być moim szefem!